

**ALFRED HITCHCOCK**

**TAJEMNICA  
ŚMIEJĄCEGO SIĘ CIENIA**

**PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

(Przełożyła: MIRA WEBER)

## Krótki wstęp Alfreda Hitchcocka

Witajcie, miłośnicy tajemniczych opowieści!

Cieszę się, że gotowi jesteście przeżyć kolejną przygodę wraz z niezwykleymi chłopakami, znanymi jako Trzej Detektywi. Tym razem za sprawą złotego amuletu, stanowiącego część zaginionego skarbu indiańskiego plemienia, znajdą się w tak niebezpiecznych sytuacjach, jakie nawet trudno sobie wyobrazić. Ich grozę spotęguje dziwny śmiejący się cień, który pojawiać się będzie niespodziewanie w najbardziej nieoczekiwanych miejscach.

Jeśli czytaliście którąś z poprzednich opowieści, poświęconych przygodom Trzech Detektywów, wiecie już wszystko o moich młodych przyjaciółach. Pierwszy Detektyw, Jupiter Jones, jest krępy i grubawy, Pete Crenshaw - wysoki i doskonale umięśniony, a Bob Andrews, najbardziej spośród nich rozmiłowany w nauce, drobny i wątły. Wszyscy mieszkają w Rocky Beach, niewielkim kalifornijskim miasteczku na wybrzeżu Pacyfiku, niedaleko Hollywoodu.

Kwaterę Główną detektywi urządzili sobie w starej przyczepie kempingowej, sprytnie ukrytej przed oczami intruzów na terenie składowego złomu, należącego do cioci i wuja Jupitera, z którymi chłopiec mieszka.

Nie będę Was już jednak dłużej zanudzał. Pora na przygodę! Cień właśnie zaczyna się śmiać - choć czy ten skrzek można nazwać śmiechem?

Alfred Hitchcock

## ROZDZIAŁ 1

### Śmiech, który rozległ się nocą

Bob Andrews i Pete Crenshaw mieli przed sobą jeszcze około czterech kilometrów do Rocky Beach, kiedy musieli włączyć światła rowerowe. Zimą w górach południowej Kalifornii ciemności zapadają nagle.

- Do licha - westchnął Pete - powinniśmy byli wcześniej ruszyć do domu.

- Warto było zostać dłużej, żeby popływać - Bob uśmiechnął się szeroko.

Wspaniały dzień w górach, zakończony kąpielą w strumieniu, nieco zepsuła jedynie nieobecność trzeciego członka zespołu detektywów, Jupitera Jonesa, który miał akurat pilne prace w składzie swego wuja Tytusa.

Zmęczeni ale szczęśliwi chłopcy pedałowali rażno drogą biegnącą obok wysokiego kamiennego muru, kiedy nagle ciemności rozdarł wysoki, niepokojący krzyk.

- Ratunku! - wołał nieznajomy głos.

Pete nacisnął hamulec i zatrzymał się gwałtownie. Bob z impetem wpadł na niego, mrużąc coś pod nosem.

- Słyszałeś? - wyszeptał Pete.

Bob doprowadził rower do porządku i spojrzał w stronę kamiennego muru.

- Słyszałem. Myślisz, że kogoś skrzywdzono?

Kiedy chłopcy nasłuchiwali, coś poruszyło się w zaroślach za murem.

- Ratunku! - rozległo się ponownie.

Teraz nie było już wątpliwości, że ktoś usilnie wzywał pomocy. Chłopcy zauważyli w murze ciężką bramę z wysokich żelaznych prętów, zakończonych ostro jak włócznie. Nie wahali się ani chwili. Pete porzucił rower i pobiegł do niej. Bob, usiłując dotrzymać mu kroku, nagle krzyknął ostro:

- O kurczę!

Coś przeleciało ponad murem i uderzyło go mocno. Było to coś małego, co odbiło się od ramienia chłopca i poszybowało w ciemności.

- Mam! - Pete wyciągnął rękę i pochwycił znikający przedmiot.

Obaj chłopcy wpatrywali się w małą lśniącą metalową statuetkę o wysokości niecałych dziesięciu centymetrów, którą Pete trzymał w dłoni. Przedstawiała siedzącego po turecku szeroko uśmiechniętego mężczyznę.

- Co to jest? - spytał Bob.

- Nie mam pojęcia. Może jakiś wisior? Popatrz na to uszko przymocowane do jego głowy.

- Wyleciał zza muru. Czy...

Przerwał, słysząc jakiś hałas. Ktoś przedzierał się przez krzaki, a po chwili zawołał przytłumionym głosem:

- Wyrzucił coś! Znajdź to!

- Robi się, szefie - odpowiedział drugi głos.

Zamek w bramie zaskrzypiał, jakby ktoś usiłował go otworzyć. Chłopcy szybko rozejrzeli się dokoła i tuż pod murem zauważyli gęste krzaki. Ukryli rowery i sami przycupnęli w gęstwinie, by nikt nie odkrył ich obecności.

Cięzka brama otwarta się ze zgrzytem zawiasów. Jakaś postać przemknęła jak cień między drzewami i dobiegła do skraju bitej drogi. Chłopcy wstrzymali oddechy i obserwowali uważnie poprzez liście, co się dzieje. Postać zbliżyła się, przeszła obok przyczajonych w krzakach detektywów i ruszyła drogą.

- Widziałeś, kto to był? - spytał szeptem Bob.

- Jest zbyt ciemno - odparł Pete.

- Może powinniśmy zwrócić statuetkę. Wygląda na cenną.

- Sądzę, że... Patrz!

Jakiś niewyraźny kształt pojawił się niecałe trzy metry od miejsca, gdzie tkwili skuleni Pete i Bob. Chłopcy zamarli, bojąc się nawet poruszyć palcem. Cień zdawał się wyrastać nad nimi w mroku nocy - wysoki, powykręcany i garbaty, z długim nosem zakrzywionym jak dziób drapieżnika i małą główką, która niepewnie trzęsła się na wszystkie strony.

Nagle ciemności rozdarł dziki śmiech. To śmiał się wysoki cień, stojący tak blisko kryjówek chłopców.

Kiedy detektywi zdołali już pokonać strach, który zmuszał ich do ucieczki, cień przemówił nagle zwyczajnym męskim głosem.

- Dajmy sobie na razie spokój. Jest zbyt ciemno na poszukiwania.

- W porządku, szefie - odparł stojący dalej drugi mężczyzna. - Jutro postaram się to znaleźć.

Wysoki garbus z dziwną główką poczekał chwilę na swego kompana. Gdy ten znalazł się przy nim, obaj przedarli się przez krzaki, zamykając za sobą żelazną bramę. Chłopcy pozostali w ukryciu tak długo, aż usłyszeli zgrzyt zamka i cichnące głosy oddalających się mężczyzn.

- Widziałeś tego faceta? Tego ze śmieszną główką - szepnął Bob. - A ten śmiech... Co to mogło być?

- Nie wiem i raczej nie chcę się dowiedzieć - odparł stanowczo Pete.

- Wracajmy do domu. Musimy opowiedzieć Jupe'owi tę historię.

- Dobrze - zgodził się Pete.

Chłopcy podnieśli rowery i wyprowadzili je z powrotem na drogę. Kiedy ruszyli w kierunku przełęczy Las Casitas, dziki śmiech znowu rozległ się za nimi w ciemnościach.

Mocniej nacisnęli na pedały i nie zwolnili tempa jazdy, aż przełęcz została za nimi, a w dole zamajaczyły przyjazne światła Rocky Beach.

## ROZDZIAŁ 2

### Tajemnicza wiadomość

- Wygląda na lite złoto! - wykrzyknął Jupiter, z uroczystą miną oglądając maleńką statuetkę.

- Czy ona jest cenna, Jupe? - spytał Bob.

- Sądzę, że bardzo, i to nie dlatego, że wykonano ją ze złota - odparł Jupiter.

- Do licha, czy może być coś cenniejszego niż złoto? - zawołał z powątpiewaniem Pete.

Posążek przedstawiający uśmiechniętego człowieczka leżał połyskując na wyciągniętej dłoni Jupitera.

- Zobaczcie, chłopaki, jak starannie ktoś to wyrzeźbił. Skośne oczy i pióropusz, który figurka ma na głowie, sugerują, że jest dziełem artysty z jakiegoś indiańskiego plemienia. Wygląda na starą. Podobne bibeloty oglądałem w muzeach.

Chłopcy zebrali się w starej przyczepie kempingowej, która służyła im jako Kwatera Główna. Przyczepa została uszkodzona w wypadku i wuj Jupitera nie zdołał jej sprzedać, więc ofiarował ją chłopcom, by mieli gdzie się spotykać. Przyjaciele zamaskowali przyczepę stertą złomu tak starannie, że była niewidoczna dla oczu postronnych. Można było się do niej dostać przez kilka sekretnych wejść. W środku mieściła małe biuro wyposażone w biurko, telefon, magnetofon i inne urządzenia potrzebne do pracy detektywa. Naprzeciwko biura znajdowało się małe laboratorium i ciemnia. Niemal każdy sprzęt pochodził ze składu złomu i chłopcy sami doprowadzili go do użytku.

Jupiter słuchając zakończenia opowieści o przygodzie, która spotkała jego przyjaciół w górach, przez cały czas wpatrywał się w figurkę. Kiedy zamilkli, zmarszczył brwi i zamyślił się.

- Jednym słowem uważacie, że ten, kto wzywał pomocy, przerzucił także przez mur statuetkę. Następnie schwytali go ci dwaj mężczyźni, którzy wyszli potem na drogę poszukać zguby.

- Jasne - odparł Bob.

- Jednakże te dwa fakty nie muszą być ze sobą powiązane - zwrócił uwagę Jupiter. - To jest tylko przypuszczenie bez realnych dowodów.

- Nie szukaj dziury w całym, Jupe - zaprotestował gwałtownie Pete. - Można być uważnym detektywem, w porządku, ale tu sprawa jest jasna. Słyszeliśmy krzyk, ktoś rzucił

figurkę, potem pojawili się ci dwaj faceci i jeden z nich mówił do drugiego “szefie”. Moim zdaniem mamy do czynienia z gangiem.

- Możliwe, ale nadal nie widzę związku między statuetką a wołaniem o pomoc - obstawał przy swoim Jupiter.

- A ta dziwna postać? - wtrącił się szybko Bob. - Nigdy nie widziałem kogoś, kto wyglądałby lub śmiał się w podobny sposób.

- Możecie opisać ten śmiech?

- Cienki, wysoki, przypominał śmiech dziecka - powiedział Pete.

- Nie, raczej kobiety - poprawił go Bob.

- Jakiej tam kobiety. To był śmiech wariata.

- Histeryczny, brzmiał w nim strach.

- Złośliwy, nieprzyjemny.

- Powiedziałbym, że raczej smutny. Mógł tak się śmiać jakiś stary człowiek.

Jupiter słuchał kolegów z zakłopotanym wyrazem twarzy.

- Jesteście pewni, że obaj słyszeliście ten sam śmiech?

- Z pewnością. - W głosie Pete'a brzmiało wahanie. - Obawiam się jednak, że słyszeliśmy co prawda to samo, ale nie tak samo.

- Za to dokładnie i z bliska. - Jupiter westchnął. - Powiniennem sam go posłuchać, żeby wiedzieć, jak naprawdę brzmi. Czy chociaż jesteście pewni, że ktoś wzywał pomocy?

- Absolutnie! - zawołali równocześnie Bob i Pete.

Na okrągłej twarzy Jupitera widać było głębokie zamyślenie.

- Z waszego opisu wynika, że znajdowaliście się na zewnątrz muru ogradzającego majątek Sandowów.

- Racja! - Bob strzelił w powietrze palcami. - Stara hiszpańska posiadłość. Ponad pięć tysięcy akrów.

- Większą część powierzchni zajmują góry, ale w dawnych czasach ojciec panny Sandow próbował hodować tam bydło - dodał Jupiter.

- Czy teraz również mają stada? - chciał wiedzieć Pete.

Bob pokręcił głową.

- Nie. Szukając czegoś w bibliotece, przeczytałem informację o rodzinie Sandowów. Ojciec panny Sandow był ostatnim, który zajmował się posiadłością. Po jego śmierci została tam tylko córka, która odizolowała się od świata. Mój ojciec nazywa ją zubożałą dziedziczką, to znaczy, że ma więcej ziemi niż pieniędzy. Żyje jak pustelnica, nie widuje nikogo poza służącą i ogrodnikiem.

Bob zajmował się zbieraniem informacji dla ich detektywistycznego tria i wszystkie zgromadzone przez niego fakty były w stu procentach prawdziwe. Jupiter spoważniał.

- Wiecie, to zaczyna być dziwne. Co ci dwaj mężczyźni robili w posiadłości Sandowów i skąd się tam wzięła statuetka?

- Może gang zamierzał okraść pannę Sandow? - zasugerował Pete.

- Z czego? Przecież ona niewiele posiada - zaproponował Bob.

- Prawdopodobnie starsza pani nie ma nic wspólnego z tym, czego byliście świadkami. Mężczyźni znaleźli się w jej posiadłości zupełnie przypadkowo - uznał Jupiter. - Żaden gang nie traciłby czasu dla takiego drobiazgu.

Jupiter obracał w dłoni małego złotego człowieczka i wpatrywał się w niego tak, jakby mógł on przekazać im potrzebne informacje. Nagle oczy Pierwszego Detektywa załśniły podnieceniem.

- Co się stało, Juve? - spytał Bob.

Jupiter zaczął coś majstrować przy podstawie statuetki. Przekręcał, naciskał, aż w pewnym momencie wydał okrzyk tryumfu. Denko odskoczyło i coś wypadło ze środka figurki na podłogę.

- Niesamowite! Tajemna skrytka! - zawołał podniecony Pete.

Jupiter podniósł mały kawałek papieru, który wyfrunął ze skrytki. Rozprostował go na biurku, a koledzy pochylili się, by zobaczyć, czy coś jest na nim napisane. Jupiter wysilił wzrok i jęknął.

- Czy to jakaś wiadomość? - spytał Bob.

- Nie wiem! - odparł z rozpaczą Pierwszy. - Nie mogę tego odczytać. Napisane w jakimś obcym języku.

Bob i Pete wpatrywali się w pomięty świstek.

- Nie mam pojęcia, co to za język. Nigdy dotąd z nim się nie spotkałem - dodał Juve ponurym głosem.

Chłopcy milczeli rozczerowani. Jupiter znał pobieżnie wiele obcych języków, a trzema z nich władał. Jeśli nawet nie potrafił rozpoznać pisma, musiał to być naprawdę tajemniczy język.

Bob jeszcze raz uważniej spojrział na papier.

- Ch... chłopaki - wyjąkał. - To jest napisane krwią!

Jupiter ponownie przyjrzał się karteczce. Pete niespokojnie przeczesywał palcami włosy.

- Bob ma rację - potwierdził w końcu Jupiter. - Wiadomość napisana jest krwią. Ten,



kto ją sporządził, robił to w sekrecie i nie miał pióra ani ołówka.

- To mógł być więzień - podsunął Bob.
- Albo ktoś, kto pragnął wyrwać się z gangu - dodał Pete.
- Jest wiele możliwości - zgodził się Jupiter - co znaczy, że czeka nas nowe zadanie.

Najpierw musimy znaleźć kogoś, kto pomoże nam odczytać te słowa.

- A mamy taką osobę?
- Znamy jednego człowieka, który jest kopalnią wiadomości na temat dziwnych języków i dziwnych ludzi.
- Alfred Hitchcock! - zawołał Pete.
- Właśnie jego miałem na myśli - potwierdził Jupiter. - Dziś jest już za późno, ale jutro odwiedzimy pana Hitchcocka i pokażemy mu ten zapis.

## ROZDZIAŁ 3

### Atak

Następnego dnia tuż po śniadaniu Pete i Bob pobiegli do składu złomu. Czekali tam już na nich Jupiter i Worthington.

- Najpierw pojedziemy do studia pana Hitchcocka - poprosił kierowcę Jupiter, kiedy już wszyscy wgramolili się do ogromnego rolls-royce'a z połączanymi ozdobami. Jakiś czas temu Pierwszy Detektyw wygrał konkurs, w którym nagrodą było prawo do użytkowania przez trzydzieści dni tego luksusowego samochodu.

- Jak pan sobie życzy, panie Jones - odparł uprzejmie Worthington. Mimo serdecznej przyjaźni, jaka wywiązała się między nim a chłopcami, elegancki szofer zawsze przestrzegał konwenansów.

Trzej Detektywi wiedzieli z doświadczenia, że niełatwo dostać się do studia sławnego reżysera, więc ilekroć chcieli go odwiedzić, prosili Worthingtona, aby zawiózł ich tam rolls-royce'em. Choć trzydzieści dni już minęło, to dzięki wdzięcznemu klientowi, który bez pomocy chłopców nie odzyskałby swego spadku, mogli teraz do woli korzystać z samochodu. Jego imponujący wygląd był przepustką, która otwierała przed nimi wszystkie bramy.

- Witajcie, drodzy przyjaciele. Jakież to niezwykle wydarzenie przywiodło was tym razem w moje progi? - Sławny reżyser wychylił się zza ogromnego biurka w swym prywatnym gabinecie.

Chłopcy ochoczo zrelacjonowali wczorajsze przeżycia na górskiej drodze i powiadomili o znalezieniu tajemniczej wiadomości. Pan Hitchcock przysłuchiwał się dość obojętnie całej opowieści, dopóki Jupiter nie doszedł do części związanej ze złotym posążkiem i nie położył figurki na biurku reżysera.

Starszy pan z roziskrzonymi oczyma oglądał uważnie statuetkę przedstawiającą uśmiechniętego małego człowieka.

- Jupiter ma rację, że to cenny przedmiot - powiedział. - Ten posążek jest bez wątpienia starym indiańskim amuletem. Przypadkiem sporo wiem na temat indiańskiego rzemiosła artystycznego, bo kiedyś musiałem zdobyć o nim informacje do jednego z filmów. Amulet, który mamy przed sobą, został zrobiony przez tutejsze plemię Chumashów. Podobny występował jako rekwizyt w mojej opowieści.

- Co to jest amulet, proszę pana? - dopytywał się Pete.

- Magiczny przedmiot, mający odpędzać złe moce lub przynosić szczęście, zazwyczaj

noszony na szyi - wyjaśnił Hitchcock. - Stąd to metalowe oczko na głowie figurki. Chumashowie posiadali wiele takich amuletów.

- O kurczę! - westchnął Pete. - Nawet nie wiedziałem, że w pobliżu Rocky Beach żyli jacyś Indianie.

- Owszem, żyli - powiedział Bob. - Czytałem wszystko o Chumashach. To było małe, pokojowo nastawione plemię. Zamieszkiwali tereny nadbrzeżne, potem pracowali dla hiszpańskich osadników.

- Wszystko to prawda - zgodził się pan Hitchcock. - Teraz jednakże bardziej interesuje mnie śmiejący się cień. Mówiliście, że była to wysoka, garbata postać z małą główką, która trzęsła się na wszystkie strony. Najbardziej zaintrygował was jednakże jej niesamowity śmiech.

- Tak, proszę pana - potwierdził Bob.

- Byliście blisko, a jednak każdy z was inaczej opisał ten śmiech. Co o tym sądzisz, Jupiterze?

- Przyznaję, że nie wiem, co mam o tym myśleć - odparł Pierwszy Detektyw.

- Na razie ja również nie mam zdania na ten temat - powiedział pan Hitchcock. - Pokażcie mi ten świstek, który wypadł ze skrytki w posążku.

Jupiter wręczył sławnemu reżyserowi kawałek papieru z tajemniczą wiadomością, którą pan Hitchcock przestudiował uważnie.

- Do pioruna! Naprawdę napisane krwią. Niedawno, co łatwo poznać po tym, że tekst jest bardzo czytelny. Z tego wniosek, że wiadomość niezbyt długo znajdowała się w amulecie.

- Czy może pan określić, w jakim języku została napisana? - spytał Bob.

- Niestety nigdy dotąd nie zetknąłem się z podobnym językiem. Prawdę mówiąc, niczego mi to nawet nie przypomina.

- Kiepska sprawa. Jupiter był pewien, że pan nam pomoże - powiedział Pete.

- I co my teraz zrobimy? - spytał przygnębiony Bob.

- Na szczęście mogę wam pomóc mimo nieznaności tego języka - odparł z uśmiechem pan Hitchcock. - Zarekomenduję was mojemu przyjacielowi Wiltonowi J. Meekerowi, profesorowi jednego z uniwersytetów w południowej Kalifornii i specjalście od narzeczy amerykańskich Indian. Często służył mi lingwistyczną konsultacją przy filmach. Mieszka akurat w Rocky Beach. Sekretarka da wam jego adres. Po wizycie oczekuję informacji, czego się od niego dowiedzieliście.

Jupiter polecił Worthingtonowi, by zawiózł ich do domu profesora, a następnie

odstawił rolls-royce'a do agencji wynajmu samochodów. Uznał, że potem mogą wrócić piechotą.

Mały biały dom należący do profesora Meekera był cofnięty od ulicy i ogrodzony płotem z białych palików. Otaczała go bujna, tropikalna roślinność. Chłopcy pchnęli kołyszącą się na zawiasach białą furtkę i chodniczkiem ułożonym z kamiennej kostki ruszyli w kierunku frontowych drzwi. Kiedy byli już w połowie drogi, nagle z gęstych krzaków tuż przed nimi wyskoczył jakiś mężczyzna.

- Uwaga, chłopaki! - krzyknął ostrzegawczo Bob.

Mężczyzna był ciemnoskóry, niski, szeroki w ramionach. Ubrany był w luźną białą koszulę zawiązaną w pasie, w białe pumpy i biały kapelusz o szerokim rondzie. Poruszał się pewnie na szczupłych, dobrze umięśnionych nogach. Stopy miał bose. Groźnie błysnął zębami i wyciągnął przed siebie długi, ostry nóż.

Chłopcy stali jak sparaliżowani, podczas gdy ciemnoskóry napastnik zbliżył się do nich, wymachując nożem. Z bliska mogli zobaczyć dziką wściekłość w jego oczach.

Zaczął coś wykrzykiwać chropawym głosem w nie znanym im języku i zanim mogli się zorientować, wyszarpnął potężną dłońią złoty amulet z ręki Jupitera. Odwrócił się szybko i pobiegł w kierunku krzaków.

Oszołomieni chłopcy stali jak wmurowani w ziemię, niezdolni przez długą chwilę powiedzieć nawet słowa. Pierwszy otrząsnął się Pete.

- Zabrał nasz amulet! - krzyknął.

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, rzucił się w pogoń za złodziejem. Przedzierał się przez krzaki, a Bob i Jupiter tuż za nim. Dopadli skraju ogrodu akurat w tym momencie, gdy ciemnoskóry napastnik wskakiwał do poobijanego, starego samochodu. Siedzący w nim kierowca natychmiast i uszył z piskiem opon.

- Uciekł! - krzyknął Pete.

- Z naszym posążkiem! - rozpacział Bob.

Chłopcy popatrzyli na siebie bezradnie. Amulet zniknął! Nagle usłyszeli, że ktoś stojący za ich plecami mówi coś do nich ze złością.

## ROZDZIAŁ 4

### Skalne Diabły

- Co tu się dzieje?

Chłopcy odwrócili się. Szczupły, przygarbiony mężczyzna o szpakowatych włosach patrzył na nich gniewnie zza grubych szkieł okularów w rogowej oprawce.

- Jakiś człowiek ukradł nasz amulet! - wybuchnął Pete.

- Był uzbrojony w nóż - uzupełnił Bob.

- Wasz amulet? - Starszy pan zdziwił się. - Ach, już wiem. To wy jesteście chłopcami, o których wspominał Alfred Hitchcock. Trzej Detektywi, prawda?

- W komplecie - potwierdził z dumą Jupiter.

- Podobno macie do mnie sprawę. Znaleźliście jakąś karteczkę z wiadomością w nie znanym wam języku i chcecie, żebym pomógł ją rozszyfrować - kontynuował profesor Meeker.

- Mieliśmy - odparł ze smutkiem Bob - ale ten ciemnoskóry mężczyzna ukradł posążek i wiadomość przepadła.

- Zgłaszam małą poprawkę - oznajmił Jupiter. - Nadal mamy sprawę do pana profesora. Przepadła statuetka, ale nie wiadomość. Na wszelki wypadek wyjąłem ją ze skrytki i trzymałem w innym miejscu.

Jupiter tryumfalnie wręczył profesorowi świstek papieru.

- Wspaniale! - zawołał starszy pan. Jego oczy ukryte za grubymi szklami okularów zalśniły podnieceniem. - Chodźmy do domu, chcę dokładnie przestudiować ten zapis.

Nie zwracając już uwagi na chłopców, pobiegł truchtem w kierunku budynku widniejącego po drugiej stronie ogrodu. Był tak przejęty trzymaną w rękę dziwną wiadomością, że nieomal wpadł na drzewo. Kiedy wszyscy znaleźli się już w załadowanym po sufit książkami gabinecie, profesor polecił chłopcom usiąść na krzesłach, a sam zajął miejsce za biurkiem i zajął się tajemniczą notatką.

- Niesamowite! Tak, tak, zadziwiające, bez wątpienia to krew. Całkiem świeża - mrucał pod nosem, jakby mówił sam do siebie. Wydawało się, że zupełnie zapomniał o czyjejkolwiek obecności.

Jupiter chrząknął.

- Przepraszam, panie profesorze, czy pan już rozpoznał ten język?

- Słucham? - Profesor Meeker uniósł głowę. - Ach tak, oczywiście! To język

plemienia Yaquali. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ci Yaquali to wspaniali ludzie. Większość Indian nie potrafi pisać, nie zna żadnego alfabetu. Yaquali jednakże przyswoili sobie alfabet łaciński, a hiszpańscy misjonarze skompilowali dla nich słownik, dzięki czemu mogą oni czytać i pisać we własnym języku.

- Czy Yaquali pochodzą stąd, jak Chumashe? - spytał Pete.

- Skądże, nie mają z nimi nic wspólnego! - wykrzyknął profesor Meeker, patrząc na Pete'a, jakby chłopiec był niespełna rozumu. - Chumashe to zacofane plemię, które nigdy nie знаło słowa pisanego. Yaquali tak się różnią od Chumashów, jak Anglicy od Pigmejów.

- Ale są amerykańskimi Indianami? - dopytywał się Bob.

- Tak, ale nie ze Stanów Zjednoczonych - odparł profesor i znowu zaczął wpatrywać się w świstek papieru zawierający tajemniczą informację. - Nie do wiary, że wiadomość zapisana w języku yaquali dotarła do Rocky Beach. Yaquali rzadko opuszczają swoje góry. Nienawidzą cywilizacji.

- Jakie góry? - spytał Jupiter. - To gdzie oni w końcu mieszkają?

- Gdzie?... Oczywiście w Meksyku. - W głosie profesora Meekera słychać było zdziwienie, że ktoś pyta o tak podstawowe rzeczy. Po chwili starszy pan uśmiechnął się. - Wybaczcie, chłopcy. Skąd mielibyście wiedzieć cokolwiek na temat Yaquali. To zupełnie nieznane plemię, głównie dlatego, że jak ognia unika kontaktów z białym człowiekiem i jego cywilizacją.

- Meksyk leży niedaleko stąd - zauważył Jupiter. - Dlaczego więc jeden z Yaquali nie miałby pojawić się w Rocky Beach.

- Po pierwsze, młody człowieku, Yaquali nienawidzą opuszczać swoich domów, a po drugie, mieszkają w najbardziej oddalonej i niedostępnej części gór Sierra Madre. Ten odizolowany od świata, niemal pozbawiony wody zakątek nosi nazwę Diabelskiego Ogrodu, a jego mieszkańcy, którzy jak nikt inny potrafią się kryć i wspinać tam, gdzie orzeł z trudem doleci, otrzymali przydomek Skalnych Diabłów.

- Diabłów? - Pete zadrżał lekko. - Czy są aż tak niebezpieczni?

- Jedynie wtedy, gdy ktoś ich zaatakuje. Na co dzień to spokojni, pokojowo nastawieni ludzie, którzy chcą tylko, by ich pozostawić w spokoju. Dlatego do perfekcji opanowali sztukę wspinaczki, by móc mieszkać w swych niedostępnych górach.

- Wobec tego w jaki sposób wiadomość od nich dotarła do Rocky Beach? - spytał Bob.

Profesor Meeker w zamyśleniu potarł policzek.

- To nie wydaje się aż tak nieprawdopodobne. Mimo że ciągle mieszkają na trudno

dostępnych terenach, rząd meksykański w ciągu ostatnich kilku lat nawiązał z nimi współpracę. To inteligentni ludzie, od dawna cenieni za umiejętności wspinaczkowe.

- Uważa pan, że któryś z nich mógł przyjechać tu do pracy? - spytał Jupiter.

- Możliwe, choć nie słyszałem o żadnym Yaquali przebywającym w Stanach Zjednoczonych. A już nie bardzo umiem sobie wyobrazić, co którykolwiek z nich mógłby robić w Rocky Beach. Bo tu właśnie znaleźliście tę wiadomość, prawda?

- Tak, proszę pana, w sekretnym schowku w amulecie.

- Yaquali rzeczywiście lubią amulety.

- Pan Hitchcock przypuszczał jednak, że amulet został wykonany przez jakiegoś rzemieślnika z tutejszego plemienia Chumashów - powiedział Bob. - Dodał jeszcze, że podobny przedmiot pokazał w programie telewizyjnym.

- Chumashów, hm. To wydaje się dziwne. Nie widzę żadnych związków między tymi dwoma plemionami. Jest nieprawdopodobne, by jakiś przedmiot wytworzony przez Chumashów dotarł do Yaquali zamieszkałych w Meksyku. Mówicie o amulecie skradzionym wam przez ciemnoskórego mężczyznę?

- Tak, proszę pana - odparł Pete.

- Był z litego złota - dodał Bob.

Profesor popatrzył uważnie na swych gości.

- Amulet Chumashów ze złota? Wykluczone, chłopcy.

- Sprawdziłem go dokładnie. Jestem pewien, że był złoty - powiedział stanowczo Jupiter.

- Musiałeś się pomylić, młody człowieku.

- Niemożliwe. Znam się na złocie.

- Pan Hitchcock to potwierdził - dodał Bob.

Profesor wydawał się nieco oszołomiony. Szczęki mu drgały, co chwila nerwowo otwierał i zamykał usta. Zmrużył oczy, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. W końcu odezwał się:

- Jeśli naprawdę amulet jest ze złota, moi drodzy przyjaciele, to wpadliście na trop tajemnicy wszech czasów. - Zamilkł, jakby dla nabrania oddechu przed tym, co za chwilę powie. - Być może znaleźliście klucz do zagadki, która już od prawie dwustu lat zaprzęta najtęższe umysły.

- Klucz do liczącej dwieście lat zagadki? - Jupiter otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Tak, chłopcy, klucz do tajemnicy Skarbu Chumashów!

## ROZDZIAŁ 5

### Skarb Chumashów

- Widzicie, chłopcy - ciągnął profesor - Chumashe nigdy nie używali złota do swych wyrobów. W tej części stanu po prostu go nie było. Jeśli więc jest to złoty amulet, musiał zostać wykonany ze złota pochodzącego z łupów, nazywanych Skarbem Chumashów.

- Co to za skarb, panie profesorze? - spytał Bob.

- Pomiędzy rokiem tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym a tysiąc osiemset dwudziestym w górach grasowała banda renegatów z plemienia Chumashów. Choć było ich niewielu, zaatakowani stanowili śmiertelne zagrożenie dla wroga. Nie mieli też sobie równych we wspinaczce. Hiszpanom nie udawało się ich kontrolować, usiłowali więc przekupić ich za pomocą złota, by zostawili w spokoju osadników. Bandyty szybko poznali wartość cennego kruszcu i jeśli nie otrzymali od Hiszpanów tyle, ile chcieli, resztę kradli, gdzie popadło.

Krąży pogłoski, że zanim zostali ostatecznie pokonani, a ich przywódca, Magnus Verde, śmiertelnie raniony i pojmany, zdążyli zgromadzić nieprawdopodobną ilość złota - w biżuterii i sztabkach. Magnus Verde odmówił zeznań na temat miejsca ukrycia łupów. Przed śmiercią powiedział jedynie, że są schowane tam, gdzie żaden człowiek nigdy ich nie znajdzie. Reszta członków bandy puciekła i nikt już więcej o nich nie słyszał. Od tamtej pory wielu ludzi bezskutecznie poszukiwało Skarbu. Zawsze myślałem, że został ulokowany w zupełnie niedostępnym miejscu, na przykład wrzucony na dno oceanu, by żaden biały człowiek nie wpadł na jego ślad.

Jupiter błędził oczami gdzieś w dali.

- Sądzę, że ciężko by im było raz na zawsze pozbyć się złota, o które z takim trudem walczyli.

- Być może masz rację - przyznał profesor. - A skoro widzieliście złoty amulet Chumashów, to znaczy, że ich Skarb ciągle gdzieś istnieje. Co za ekscytujące odkrycie!

- Być może dowiemy się o nim czegoś z notatki - powiedział z nadzieją Jupiter.

- Z notatki? - Profesor zamrugnął oczami. - O mój Boże, na śmierć o niej zapomniałem. Oczywiście! Pewnie czegoś się dowiemy.

Starszy pan ze zmarszczonymi brwiami wczytywał się w treść wiadomości, zapisanej na świstku papieru.

- Trudno jest dokładnie przetłumaczyć tekst napisany prymitywnym językiem,



ponieważ jego autor myślał w prymitywny sposób. To, co zdołałem rozszyfrować, brzmi mniej więcej tak: "Słowa palić. Śpiewać pieśń śmierci. Bracia pomocy". Obawiam się, że to wszystko.

- Ale czy to jest prośba o pomoc? - spytał Jupiter.

- Tak przypuszczam - powiedział profesor i raz jeszcze uważnie przyjrzał się notatce. - Nie rozumiem jednak, jakim cudem wiadomość od Yaquali znalazła się w amulecie Chumashów. To dopiero zagadka.

- Zagadka, którą mamy nadzieję rozwiązać, proszę pana - odparł nieco pompatycznym tonem Jupiter.

- Oczywiście, chłopcze. - Profesor uśmiechnął się. - A kiedy już to się stanie, będę wdzięczny, jeśli pozwolicie mi przyjrzeć się bliżej Skarbowi Chumashów.

Profesor Meeker uparł się, że odprowadzi swoich gości aż do furtki. Rozglądał się przy tym na wszystkie strony, by się upewnić, że ciemnoskóry mężczyzna nie wrócił. Kiedy pożegnał się z chłopcami i Trzej Detektywi zostali znowu sami, skupili się wokół Jupitera.

- Do licha, Jupe! - zawołał Bob. - Myślisz, że ktoś znalazł Skarb Chumashów?

- A ktoś inny chce go ukraść? - dodał Pete.

- Być może amulet jest kluczem do miejsca ukrycia łupów i ktoś próbuje go ukraść, by je znaleźć.

- Banda Indian rabująca dom panny Sandow! - Pete puścił wodze wyobraźni.

- Ten ciemnoskóry faktycznie przypominał trochę Indianina - przyznał Bob.

- Śmiejące się widmo to dziki Indianin!

Kiedy Pete i Bob przerzucali się słowami, Jupiter pograżył się w myślach. W pewnym momencie przerwał kolegom bezładną paplaninę.

- Spekulacje zaprowadzą nas teraz donikąd - powiedział zdecydowanym tonem. - Musimy iść do Sandowów i rozejrzeć się.

- Potajemnie? - spytał Pete. - Sądysz, że powinniśmy tam powęszyć?

- Nie, musimy pójść i porozmawiać osobiście z panną Sandow. Może wiedzieć coś istotnego lub też zauważyła, że coś się dzieje. Kłopot w tym, jak dostać się do jej domu.

Kiedy dochodzili już do składu złomu, uznali, że najlepiej będzie, jeśli tata Boba zadzwoni do panny Sandow i spyta ją, czy chłopcy mogliby odwiedzić jej posiadłość, by zdobyć materiały na lekcję historii poświęconą hiszpańskim osadnikom.

- Większość dorosłych chętnie pomaga młodzieży przygotować prace domowe - zauważył Jupiter.

Bob przytaknął, ale Pete wpatrywał się akurat w wejście prowadzące do składu.

- Patrzcie - syknął. - Chudy Norris.

Odwieczny wróg trzech przyjaciół - wysoki, chudy chłopak z długim nosem - stał oparty o furtkę tyłem do nich. E. Skinner Norris, przez Jupe'a, Pete'a i Boba zwany Chudym, nienawidził Trzech Detektywów i poświęcał wiele czasu, aby udowodnić, że jest mądrzejszy niż Jupiter. Nigdy mu się to nie udało, ale ponieważ dostawał ogromne kieszonkowe i mógł prowadzić samochód, gdyż jego rodzina na stałe mieszkała w stanie, gdzie młodociany miał szansę uzyskać prawo jazdy, nie raz zdołał napsuć krwi Trzem Detektywom.

- Co on tu porabia? - dopytywał się Bob.

- Raczej nie przyszedł nam pomóc. - Jupiter skrzywił się. - Dalej, chłopaki, wejdziemy przez Czerwoną Furtkę Korsarza.

Zrobili w tył zwrot i poszli szybko na drugi koniec składu. Gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku Chudego, przebiegli wzdłuż tylnego płotu, na którym wymalowane były dramatyczne sceny, przedstawiające pożar San Francisco w tysiąc dziewięćset szóstym roku. W odległości około półtora metra od rogu płotu namalowany był mały piesek siedzący w pobliżu buchających płomieni ognia. Chłopcy nadali psu imię Rover. Zamiast jednego oka miał drewniany sęk. Jupiter ostrożnie nacisnął go i furtka w płocie się otwarła. Chłopcy po kolei wśliznęli się na podwórko składu.

Tu nikt już nie mógł ich podejrzeć. Przeczozłgali się przez ukryte pod stertą złomu przejścia, aż w końcu stanęli przed klapą, zamykającą wejście do usytuowanej w przyczepie Kwatery Głównej. Unieśli klapę i znaleźli się w Kwaterze. Weszli do biura, gdzie naradzili się szybko, co powiedzieć panu Andrewsowi, tacie Boba, i jego syn sięgnął po telefon.

- Jupiterze Jonesie! - usłyszeli donośny kobiecy głos, dobiegający gdzieś z zewnątrz.

- Hm! - chrząknął Pete. - To twoja ciotka Matylda, Jupe. Mam nadzieję, że nie zatrudni cię na całe popołudnie.

Zanim Jupiter zdążył się odezwać, głos ciotki rozległ się ponownie.

- Jupiterze! Na miłość boską, gdzie ten chłopak się podziewa? Jupiterze! Ktoś chciałby się z tobą spotkać, ty łobuzie. Pan Sandow... Jupiterze?

Chłopcy popatrzyli na siebie. Pan Sandow we własnej osobie przyszedł do nich właśnie w chwili, kiedy rozważali, jak dostać się do jego posiadłości. Ale kimże on jest, ten pan Sandow?

- Przecież panna Sandow mieszka sama! - przypomniał Bob.

- Idziemy, chłopaki - powiedział Jupiter, prowadząc przyjaciół przez Tunel Drugi na zewnątrz siedziby.

## ROZDZIAŁ 6

### Jupiter odkrywa podstęp

- Tu jesteście! - Ciotka Matylda obrzuciła chłopców surowym spojrzeniem. - Czasem myślę, że ten skład złomu powstał specjalnie po to, by służyć wam za kryjówkę.

Obok ciotki Matyldy stał wysoki, szczupły młodzieniec, zaledwie kilka lat starszy od Trzech Detektywów. Miał długie ciemne włosy i szary garnitur O zagranicznym kroju. Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Witajcie! Jestem Ted Sandow.

Chłopcy po kolei uścisnęli mu rękę, starannie ukrywając zaskoczenie niesamowitym zbiegiem okoliczności, jakim było tak niespodziewane pojawienie się Teda w składzie złomu Jonesów. Jupiter zrobił minę niewiniątka i przedstawił nowo przybyłemu siebie i kolegów.

- Nazywam się Jupiter Jones, a to są moi przyjaciele, Bob Andrews i Pete Crenshaw.

- Bardzo mi miło, chłopcy. - Ted uśmiechnął się czarująco. - Wasz przyjaciel, Skinner Norris, powiedział, że jesteście ciekawymi ludźmi, których warto poznać.

- Przysłał cię do nas Chudy? - Pete nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia.

- Dodając, że jesteście niezwykli. Czy to prawda? Tak chciałbym poznać niezwykłych amerykańskich chłopaków. Do tej pory nie miałem zbyt wielu okazji.

- Nie jesteś Amerykaninem, prawda? - spytał Bob.

- Jestem Anglikiem. Dokładnie mówiąc, Anglikiem z Cambridge. Przyjechałem w odwiedziny do mojej ciotecznej babki Sary. Przez lata, aż do śmierci ojca, który zmarł kilka miesięcy temu, nawet nie wiedziałem, że mam jakąś cioteczną babkę. Mój dziadek, brat ciotki Sary, został zabity we Francji jeszcze przed narodzinami mojego taty. Widocznie tata skontaktował się ze swą stryjenką, kiedy poczuł, że śmierć się zbliża. Sara odpisała, zapraszając do siebie, i oto jestem.

Podczas całej przemowy Ted uśmiechał się szeroko. Najwyraźniej mówienie sprawiało mu przyjemność. Wyrzucał z siebie słowa tak szybko, że chwilami z trudem można go było zrozumieć. Zanim któryś z chłopców zdążył się odezwać, Ted znowu zabrał głos.

- Ciotka Sara ma stodołę pełną starych rupieci, pamiątek z minionych lat. Postanowiła wysprzątać posiadłość i musi dokądś wywieźć nagromadzone przedmioty. Podpowiedziałem jej, żeby sprzedała wszystko jakiemuś handlarzowi staroci. Uznała to za doskonały pomysł i poprosiła mnie, abym znalazł kogoś takiego. Zauważyłem nazwę waszego składu, ale że nie znam miasta, zatelefonowałem do adwokata ciotki. Mieszka w Los Angeles, więc polecił mi

nawiązać kontakt z synem swego przyjaciela, Skinnerem Norrisem. Co też zrobiłem, a Skinner przyprowadził mnie tutaj. Zdziwiłem się tylko, że nie chciał wejść razem ze mną.

Zanim chłopcy mieli okazję wyjaśnić Tedowi, dlaczego nie ma nic niezwykłego w fakcie, że Chudy odmówił wejścia na teren składu, odezwała się ciotka Matylda. Na pierwszą wzmiankę o stodole pełnej staroci, w jej oczach pojawił się błysk zainteresowania.

- Chętnie zobaczymy, co też pańska ciotka ma za skarby. Kiedy moglibyśmy przyjść?

- Choćby zaraz - zaproponował Ted.

Ciotka Matylda potrząsnęła głową.

- Teraz nie dam rady. Męża nie ma w domu, a wolę nie zostawiać składu bez opieki. Ale Jupiter doskonale wie, co nas interesuje. Mógłby odwiedzić państwa zaraz po lunchu.

- A może wszyscy chłopcy by się wybrali? - spytał szybko Ted.

- Konrad podrzuciłby nas półciężarówką - rzucił pomysł Jupiter.

- Wspaniale! - zawołał Ted. - Porozmawialibyśmy sobie. Tak niewiele wiem o Ameryce.

Ciotka Matylda, która chętnie korzystała z okazji kupienia rzeczy odpowiednich do sprzedawania w składzie, szybko dała się przekonać. Chłopcy migiem zjedli posiłek, odszukali Konrada i wkrótce wszyscy jechali półciężarówką za małym sportowym samochodem Teda. Ted rozglądał się za Skinnerem, by mu podziękować, ale Chudy przepadł jak kamień w wodę. Zdziwiło to angielskiego młodzieńca, ale dla detektywów zachowanie ich wroga było czymś oczywistym.

- Ciekawe, co tym razem knuje Chudy? - odezwał się Pete.

- To co zawsze, chce nam pokrzyżować plany - odparł Jupiter. - Chudy mnie nie martwi. Zastanawia mnie natomiast, dlaczego Ted zjawił się w składzie dokładnie następnego dnia po tym, jak znaleźliście amulet.

- Myślisz, że on wie, iż znaleźliśmy amulet, ale nie ma pojęcia, że go nam skradziono? - spytał Bob.

- Do licha! - zawołał Pete. - To by znaczyło, że więcej osób jest zamieszanych w tę sprawę.

- Lub też wie, że wyjęliśmy z amuletu karteczkę z wiadomością i pragnie ją dostać w swoje ręce - ciągnął myśl Boba Jupiter.

- Ten chłopak wygląda całkiem w porządku - obruszył się Bob.

- Pewnie to wszystko zbieg okoliczności - przyznał Jupiter - ale lepiej mieć oczy i uszy otwarte.

Bob i Pete zgodzili się z nim. Wyjechali już z Rocky Beach i kierowali się w stronę

gór. Wijącą się drogą dotarli do przełęczy i wkrótce skręcili w wielką bramę prowadzącą do posiadłości Sandowów. Była to ta sama żelazna brama, obok której ubiegłej nocy Pete i Bob słyszeli głos śmiejącego się cienia. Po minięciu bramy jechali jeszcze około kilometra wąską tłuczniową drogą, aż zobaczyli dom Sandowów. Była to duża rezydencja w hiszpańskim stylu, z białymi ścianami i lśniąca czerwoną dachówką, przyozdobiona od frontu licznymi balkonikami. Wszystkie elementy wykończenia zrobiono z kutego żelaza. Niewiele to jednak pomagało. Ściany pękały, tynk odpadał, ozdoby były w bardzo złym stanie. Dom wyglądał na kompletnie zaniedbany.

Ted zaprowadził gości prosto do stodoły, która znajdowała się na tyłach posesji. Cała wypełniona była zbieraniną mebli z wielu epok, bibelotami, starymi artykułami gospodarstwa domowego i masą przeróżnych rzeczy, których nazw i przeznaczenia nawet nie znali. Wszystko pokrywała tak gruba warstwa kurzu, jakby co najmniej od pięćdziesięciu lat nikt niczego tu nie dotykał.

- Ciotka Sara żyje jak pustelnica - powiedział Ted. - Jestem pewien, że nawet nie wie, co jest w tej stodole.

Jupiter, który kochał starocie nie mniej niż jego wuj, z grozą patrzył, jak niszczeję tu w zapomnieniu.

- Słuchajcie, tu jest kopalnia skarbów. Spójrzcie choćby na ten stary kołowrotek. A to podręczne biurczko dla podróżujących! Istne чудо.

Przez godzinę chłopcy myszkowali wśród niezliczonej ilości zakurzonych staroci, całkiem zapominając o amulecie, Skarbie Chumashów i śmiejącym się cieniu.

W końcu Jupiter zaprzestał przerzucania interesujących przedmiotów i wstał, patrząc krytycznym wzrokiem na piętrzący się stos.

- Wuj będzie chciał wziąć to wszystko, a my nawet nie zrobiliśmy selekcji - powiedział.

- Przejdźmy teraz do domu - zaproponował Ted. - Napijemy się lemoniady, zjemy herbatniki, a ty będziesz mógł pogadać z ciotką Sarą.

Bob i Pete, pamiętając, jaki był prawdziwy cel ich wizyty w posiadłości Sandowów, zgodzili się skwapliwie i spojrzeli na Jupitera. Wszystko przebiegało zgodnie z wolą Trzech Detektywów, ale kamienne oblicze ich kolegi nie wyrażało żadnych uczuć.

- Niezły pomysł, Ted - zgodził się lekkim tonem Jupiter. - Konrad może w tym czasie sporządzić listę znajdujących się w stodole przedmiotów.

- Każę podać mu piwo - powiedział Ted.

- Piwo to niezła rzecz. - Wysoki jasnowłosy Bawarczyk uśmiechnął się szeroko.

Chłopców zaprowadzono do chłodnego pokoju, zastawionego starymi ciemnymi hiszpańskimi meblami. Ted poszedł poprosić służącą o lemoniadę. Wrócił w towarzystwie niewysokiej drobniutkiej kobiety o ptasiej urodzie, która co chwila nerwowym ruchem poprawiała nienagannie uczesane siwe włosy. Jej jasne oczy lśniły radością.

- Jestem Sara Sandow - zwróciła się do chłopców. - Cieszę się, że Teodor znalazł sobie przyjaciół. Powiedział mi, że poznał was w składzie złomu. Pewnie wspominał, że pragnę pozbyć się wszelkich staroci. Stanowczo zbyt długo pozwalałam, żeby te rupiecie mnożyły się w nieskończoność.

- Tak, proszę pani - powiedział Jupiter, a chłopcy pokiwali głowami.

- Dzięki Teodorowi znowu zaczęłam się interesować tym, co się wokół mnie dzieje. Stwierdziłam, że posiadłość jest w katastrofalnym stanie.

Służąca przyniosła lemoniadę i herbatniki, którymi panna Sandow osobiście częstowała młodych gości. Najwyraźniej ich obecność bardzo ją cieszyła.

- Po wydarzeniach ubiegłej nocy - wyjaśniła - Ted przekonał mnie, że trzymanie tych wszystkich rzeczy w stodole nie jest zbyt bezpieczne.

Bob i Pete spięli się, słysząc te słowa, a Jupiter spytał od niechcienia:

- A co się stało ubiegłej nocy, proszę pani?

- Skradziono nam przed nosa złoty posążek - powiedziała z oburzeniem panna Sandow. - Była to jedna z dwóch figurek, które mój biedny brat Mark zostawił, kiedy musiał uciekać. To jedyne pamiątki po nim.

- Tak naprawdę to moja wina - wyjaśnił Ted. - Tata wspominał, że jego ojciec, a mój dziadek opowiadał o dwóch złotych posążkach. Znalazłem je zapomniane na dnie szuflady i zabrałem do biblioteki, żeby przyjrzeć się im dokładnie. Potem wyszedłem na jakiś czas, a po powrocie stwierdziłem, że jedna z figurek zniknęła.

- Nie wiesz, kto ją ukradł? - spytał Jupiter.

- Jakiś chłopak. Pan Harris widział go.

- Tak było - usłyszeli głęboki głos dobiegający od strony drzwi.

Chłopcy odwrócili się i zobaczyli czerstwo wyglądającego mężczyznę w jasnej sportowej kurtce i bermudach odsłaniających długie, guzowate nogi. Jego szare oczy skrzyły się humorem. Miał płowe włosy i małą bliznę na rumianej twarzy. Z powodu tej blizny odnosiło się wrażenie, że na obliczu nowo przybyłego stale gości uśmiech.

Ted przedstawił sobie nawzajem mężczyznę i chłopców, wyjaśniając, że pan Harris jest przyjacielem ciotki Sary.

- Ciekawi was ta kradzież, prawda, chłopcy? - spytał z uśmiechem pan Harris. Mówił

z angielskim akcentem, jednakże innym niż Ted. Jupiterowi wydawało się, że rozpoznaje dialekt londyńskiego East Endu.

- Zobaczyłem chłopaka, jak ucieka z domu, i goniłem go aż do bramy. Kiedy tam dobiegłem, to nie mogłem go znaleźć. Musiał być z kumplami. Myślę, że możemy pożegnać się z figurką.

- Niewykluczone, że zdołamy pomóc - powiedział spokojnie Jupiter. - Mamy na swym koncie pewne sukcesy w odzyskiwaniu zagubionych i skradzionych przedmiotów.

- I w rozwiązywaniu tajemniczych zagadek - dodał Pete.

Pan Harris wybuchnął śmiechem.

- No, no, mali detektywi.

- Tak, proszę pana - odparł z powagą Jupiter. - Na niewielką skalę. Proszę, oto nasza wizytówka.

I wręczył przyjacielowi panny Sary następujący kartonik.

<p style="text-align:center"><b>TRZEJ DETEKTYWI</b> <b>Badamy wszystko</b> <b>???</b> <b>Pierwszy Detektyw . . . . . Jupiter Jones</b> <b>Drugi Detektyw . . . . . Pete Crenshaw</b> <b>Dokumentacja i analizy . . . . . Bob Andrews</b></p>
--

Pan Harris zaśmiał się ponownie.

- Tak, no cóż, na pewno zwrócićie pannie Sandow jej figurkę. Na Jowisza! Mali detektywi! Rozwiązujecie zagadki?

- Naprawdę rozwiązujemy! - wykrzyknął z gniewem Pete. - Komendant Reynolds z posterunku w Rocky Beach mianował nas nawet swymi młodszymi pomocnikami.

- Rzeczywiście? - Pan Harris szczerzył zęby, obracając w dłoni wizytówkę.

- A co znaczą te znaki zapytania? - zapytał siedzący po drugiej stronie pokoju Ted. - Przecież nie podajecie w wątpliwość własnych umiejętności, prawda?

- Oczywiście że nie. Te znaki zapytania to nasz symbol. Taki rodzaj logo - wyjaśnił Jupiter, ze zmarszczonym czołem spoglądając na Teda. - Oznaczają wszystkie tajemnice, które próbujemy wyjaśnić.

- Wspaniale! - zawołał z entuzjazmem Ted. - Ciociu, pozwólmym chłopcom zająć się naszą sprawą. Będę z nimi współpracował.

Panna Sandow wyraziła jednak wątpliwości.

- Teodorze, możemy mieć przecież do czynienia ze złodziejską szajką. To niebezpieczne, by chłopcy występowali przeciw wytrawnym złodziejom.

- Panna Sandow ma rację - poparł ją pan Harris. - Chłopcy nie powinni się mieszać do takich rzeczy jak rabunki.

- Zawsze jesteśmy nadzwyczaj ostrożni, proszę pani - powiedział Jupiter - a jeśli sprawa zaczyna przybierać poważny obrót, zwracamy się o pomoc do komendanta Reynoldsa. Jeśli to rzeczywiście jakiś chłopak skradł statuetkę, mamy dobre pole do popisu. Wiem z doświadczenia, że chłopcy zawsze mniej się obawiają swoich rówieśników. Wszystko, co musielibyśmy zrobić, to ustalić miejsce przechowywania figurki.

- Widzisz, ciociu Saro - odezwał się Ted. - Chłopcy są rozsądni i odpowiedzialni, i nawet komendant policji ma do nich zaufanie.

- No tak... - Panna Sandow miała coraz słabsze obiekcje. - To chyba naprawdę zbyt błaha sprawa, by od razu iść z nią prosto na policję.

Pan Harris spoważniał.

- Policja i tak ma dość roboty bez szukania po omacku jakiejś błyskotki. Chłopcy mogą ustalić, co się stało, namierzyć złodzieja, a potem iść na komendę. Jeśli obiecują, że będą ostrożni...

- Będą, na pewno będą! - zawołał Ted. - Co myślisz, ciociu, o tym, by wyznaczyć nagrodę? Należałoby się młodym detektywom, gdyby znaleźli posązek.

Panna Sandow uśmiechnęła się do swego ciotecznego wnuka.

- Zgadzam się na wszystko, o ile obiecacie, że nie będziecie robić niczego, co mogłoby okazać się dla was niebezpieczne. Jeśli chłopcy odnajdą posązek, z radością wręczone im nagrodę. Powiedzmy, pięćdziesiąt dolarów.

- No to ustalone - powiedział Ted. - Czy możecie przyjść jutro na lunch, byśmy mogli ułożyć plan działania?

- Jestem pewien, że nasz lunch ich nie zachwyci - wtrącił pospiesznie pan Harris. - Panna Sandow i ja jesteśmy wegetarianami - wyjaśnił. - Jemy tylko warzywa. Tak się składa, że jestem prezesem Stowarzyszenia Wegetarian. Panna Sandow bardzo mi pomogła w uruchomieniu oddziału w Rocky Beach. Jeśli chcecie wiedzieć, na czym polega idea wegetarianizmu, musicie posłuchać wykładu. Dziś po południu mam akurat odczyt na ten temat.

- Chcielibyśmy, proszę pana - powiedział Jupiter - ale teraz musimy już iść i pomóc Konradowi. Wujek niespokojnie czeka na wiadomość, co też panna Sandow ma do sprzedania. Dopóki nie załatwimy sprawy staroci, nie będziemy mogli zacząć szukać



posążku.

- Pomogę wam - zaofiarował się Ted. - I pamiętajcie o nagrodzie. Ciocia Sara nawet nie będzie pytała, gdzie znaleźliście figurkę.

- Żadnych pytań, co, chłopaki? - Pan Harrison zachichotał.

Chłopcy przeprosili towarzystwo i poszli do Konrada, by pomóc mu w spisywaniu rzeczy.

W stodole Jupiter rozejrzał się wokół, by upewnić się, że są sami, po czym zaciągnął przyjaciół w najdalszy kąt.

- Czy któryś z was zwrócił na to uwagę? - spytał z ponurym wyrazem twarzy.

- Na co, Jupe? - spytał Pete.

- Ted spytał nas o znaki zapytania na wizytówce.

- Ludzie zwykle o to pytają - powiedział Bob.

- Ale Ted nie oglądał wizytówki!

Bob zamrugnął oczyma.

- Masz rację! To Harris ją trzymał.

- Myślisz, że od początku wiedział o nas? - spytał Pete.

Jupiter przytaknął.

- Znał treść wizytówki, co znaczy, że nas okłamał. O sprzedaży staroci nie musiał przecież rozmawiać z nami. Jeśli tylko o to mu chodziło, mógł się zwrócić bezpośrednio do ciotki Matyldy. Chłopaki, starocie były tylko pretekstem, by nas poznać!

## ROZDZIAŁ 7

### Połączenie ducha z duchem

- Skąd mógł znać naszą wizytówkę? - zastanawiał się Pete.

- Chudy mu ją opisał - powiedział Bob.

- Nie - odparł dobitnie Jupiter. - Jestem pewien, że widział ją, zanim poszedł do Chudego. Chudy nie wspomniałby o niej ani słowem, za bardzo nam zazdrości. A gdyby nawet, wtedy Ted powiedziałby, że dowiedział się o Trzech Detektywach od Skinnera.

- A przecież tego nie zrobił! - Bob pomału zaczynał rozumieć. - Udawał, że nie wie, iż jesteśmy detektywami, dopóki nie usłyszał tego od nas.

- Czyli uważasz, że dowiedział się wcześniej, kim jesteśmy, ale nie chciał, żebyśmy o tym wiedzieli. - Pete postawił kropkę nad i.

- Ale jaki miał powód, żeby się tak kamuflować? - spytał Bob. - Przecież sam do nas przyszedł.

Jupiter przez chwilę rozważał pytanie.

- Powód może być tylko jeden, chłopaki. Prawdopodobnie Ted nie chce, abyśmy wiedzieli, w jaki sposób wszedł w posiadanie wizytówki.

Nagle Jupiter zmarszczył brwi.

- Czy obaj macie wszystkie swoje wizytówki? - spytał. Pete i Bob przetrząsnęli kieszenie, w których zawsze nosili po kilka kartoników.

- Jednej mi brakuje! - krzyknął Pete. - Jestem pewien, że miałem pięć sztuk.

- Założę się, że wypadła ci wczoraj w nocy koło bramy - powiedział Bob. - Pewnie kiedy sięgałeś po chusteczkę do nosa, by zawiązać amulet.

- A Ted ją znalazł - uzupełnił Jupiter. - Co znaczy, że musiał tam być, ale nie chce, żebyśmy o tym wiedzieli.

- Do licha, myślisz, że to on ukradł amulet? - spytał Pete.

- Prawdopodobnie - odparł Jupiter złowieszczym tonem.

Bob miał jednak wątpliwości co do tej hipotezy.

- Po co miałby nas angażować do poszukiwań, jeśli sam jest złodziejem? Przecież to on naciskał na pannę Sandow, by nas wynajęła. Bardzo mu na tym zależało.

- Może aż za bardzo - zauważył Jupiter. - Słuchajcie, on podejrzewa, że amulet jest w naszych rękach, i chciałby go odzyskać. Zwróćcie uwagę, jak mocno podkreślał, że nikt nie będzie nas o nic pytał. W ten sposób zachęcał nas do oddania figurki w zamian za nagrodę.

- A co by mu to dało? - Bob znalazł słabe miejsce rozumowania. - i tak zwrócilibyśmy amulet pannie Sandow. Dlaczego Ted nie przyszedł do nas po cichu? Przecież mógł to zrobić.

Jupiter miał strapiony wyraz twarzy.

- Przyznaję, że to mnie niepokoi. Jedno jest oczywiste: Ted chce odzyskać amulet, i to za wszelką cenę. I chyba nie z powodu jego wartości.

- A my go straciliśmy na zawsze! - jęknął Pete. - Przecież go już nie znajdziemy.

- Może jednak nam się to uda - powiedział Jupiter. - Myślę nad tym od chwili, gdy ten ciemnoskóry go porwał. Typ o takim wyglądzie jak on i podobnie ubrany nie ukryje się długo w Rocky Beach. Łatwo go rozpoznać. Skorzystamy z naszego "systemu połączeń duch z duchem".

- Jasne! - Pete'owi znowu wrócił entuzjazm.

- Dzieciaki bez trudu wyśledzą ciemnoskórego - powiedział Bob.

- No to pomóżmy Konradowi i wracamy do domu - podsumował Jupiter.

Po godzinie mieli już listę wszystkich przedmiotów, którymi wuj Tytus mógłby być zainteresowany, więc wsiedli do półciężarówki i opuścili majątek Sandowów. Po dojechaniu do składu zdali ciotce Matyldzie sprawę z wizyty i wręczyli jej spis rzeczy, który tak ją zafascynował, że nie zauważyła nawet, iż chłopcy wymknęli się do Kwatery Głównej. Musieli uruchomić "system połączeń duch z duchem".

Metodę wymyślił i nazwał Jupiter. Służyła ona odnajdywaniu poszukiwanych osób przy pomocy wszystkich dzieciaków z Rocky Beach i okolic. Pomysł był wspaniały, bo niezwykle prosty. Trzej Detektywi dzwonili do wszystkich kolegów i zadawali im pytanie dotyczące rozwiązywanej sprawy. Jeśli ci nie znali odpowiedzi, telefonowali z kolei do swoich znajomych, a ci do następnych, i tak dalej, aż do skutku. W ten sposób w bardzo krótkim czasie wszyscy młodzi ludzie z bliższego i dalszego sąsiedztwa byli zaangażowani w rozwiązanie problemu.

Trzej Detektywi sporządzili opis poszukiwanego mężczyzny w białym stroju i jego poobijanego samochodu, wspominając, że towarzyszył mu drugi mężczyzna, i zaczęli dzwonić do przyjaciół. Podawali numer do Kwatery Głównej i prosili, żeby każdy, kto zauważy ciemnoskórego lub jego samochód, natychmiast skontaktował się z detektywami. W ciągu niespełna godziny większość chłopaków i dziewczyn w Rocky Beach miała szansę przystąpić do szukania napastników.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak cierpliwie czekać. - Jupiter uśmiechnął się do kolegów.

Kiedy jednak do szóstej po południu telefon milczał, detektywom zrzędły miny. Nie

mogli zrozumieć, jakim cudem nikomu nawet się nie wydawało, że widział jakichś obcych.

- Przyczaili się w ukryciu - powiedział Bob.

- O ile w ogóle są jeszcze w Rocky Beach - dodał Pete.

- Jestem pewien, że są tu. - Jupiter nie tracił nadziei. Metoda pracy "duch z duchem" wymaga czasu. Dowiemy się czegoś prędzej czy później, a tymczasem...

- Szorujmy do domu na kolację - dokończył Pete, patrząc na zegarek.

Jupiter westchnął i zrobił przy tym nieszczęśliwą minę. Czasami miał dość ograniczeń, wynikających z młodego wieku i uzależnienia od dorosłych. Wiedział jednak, że i on będzie musiał iść wkrótce na kolację.

- W porządku - zgodził się - ale po kolacji pójdziesz, Bob, do biblioteki i wygrzebiez wszelkie dostępne informacje na temat Skarbu Chumashów. W bibliotece jest specjalny dział poświęcony historii naszego regionu. Dowiedz się też czegoś o bracie panny Sandow.

- Nie mów tylko, co ja mam robić! - zawołał gniewnie Pete.

- Ty - odparł z determinacją Jupiter - wracasz wraz ze mną do majątku Sandowów. Coś tam się dzieje i chcę wiedzieć, co.

- Ale czego możemy się dowiedzieć? - Pete domagał się konkretnej odpowiedzi.

- Na przykład spróbujemy odnaleźć śmiejący się cień.

- Naprawdę musimy? - jęknął Pete.

- Wracaj po kolacji najszybciej, jak możesz - powiedział stanowczo Jupiter, ignorując płaczliwe tony w głosie przyjaciela. - I włóż ciemne ubranie.

Słońce chowało się już za wysokimi górami, kiedy Pete i Jupiter stanęli przed żelazną bramą posiadłości Sandowów. Ukryli rowery w kępie drzew, a Jupiter wyjął z bagażnika niewielki, pękaty worek.

- Mur otacza całą posiadłość, a jest za wysoki, żeby się na niego wspiąć bez pomocy sprzętu, więc przygotowałem, co potrzeba - szepnął Jupiter.

Rozwiązał worek i wyjął z niego dwa urządzenia typu walkie-talkie, które sam wykonał metodą chałupniczą dla potrzeb ich detektywistycznej trójki, oraz linę zakończoną potężnym, czterozębnym hakiem.

- Dwa walkie-talkie wzięłem na wypadek, gdybyśmy się rozdzielili - wyjaśnił. - Hak przywiązany do liny znalazłem wśród ostatniej partii żelastwa kupionego przez wuja.

Jupiter przerzucił linę przez mur, a czterozębny hak zaczepił się o jego krawędź. Chłopcy sprawdzili wytrzymałość urządzenia i Pete podciągnął się jako pierwszy. Siedząc na szczycie muru rozejrzał się uważnie, a potem wciągnął na górę Jupitera. Zaczepili hak o mur

z drugiej strony i spuścili się po linie na teren posiadłości. Powoli zapadał zmierzch. Jupiter włożył linę z powrotem do worka, który starannie ukrył.

- Idziemy do rezydencji - wyszeptał. - Bądź czujny, Pete.

Przedzierając się między drzewami i krzakami dotarli do niewielkiego wzniesienia, skąd mogli obserwować rezydencję i stodołę. Kiedy znikły ostatnie promienie słońca, na całym terenie wokół zapanował mrok i cisza. W ogromnym domu paliły się światła i za oknami poruszały się jakieś cienie, ale nikt nie wychodził z budynku. Chłopcy słyszeli w oddali szum przejeżdżających drogą samochodów.

Po jakimś czasie zeszywniały im karki od długiego leżenia w jednej pozycji i złapały ich kurcze. Pete zaczął poruszać nogami, żeby poprawić krążenie, ale Jupiter nawet nie drgnął. Zgasły światła na parterze rezydencji i bezksiężycowa noc stała się jeszcze ciemniejsza.

Nagle Jupiter trącił przyjaciela w ramię.

- O co chodzi? - wyszeptał z niepokojem Pete.

- Patrz tam!

Jakiś niewyraźny, wysoki kształt poruszył się blisko domu. Cień zawahał się na moment, jakby nasłuchiwał, następnie zaczął iść wzdłuż stodoły, kierując się na wschód.

- Kiedy dojdzie do krawędzi lasu, wtedy my... - zaczął Jupiter.

Nie dane mu było skończyć, bowiem w tej samej chwili dziki, drżący śmiech odbił się echem w ciemnościach nocy.

## ROZDZIAŁ 8

### Nocne zjawy

Przeraźliwy śmiech, podobny do wycia hieny, wypełnił panującą dotąd nocną ciszę.

- To chyba on, śmiejący się cień - wyszeptał Pete. - Tylko wygląda jakoś inaczej.

- Co masz na myśli?

- Zauważ, że nie ma garbu. Ale śmieje się tak samo jak tamten.

- Pospieszmy się, bo stracimy go z oczu - ostrzegł Jupiter. Chłopcy opuścili niewielkie wzniesienie i ruszyli w kierunku lasu. Postać, którą śledzili, maszerowała szybkim krokiem ścieżką wijącą się między drzewami, nie przystając ani nie oglądając się za siebie. Dzięki temu dwaj młodzi detektywi mogli trzymać się blisko niej.

Pete ocenił, że przeszli już ponad dwa kilometry, kierując się ciągle na wschód, coraz głębiej w las, po czym postać skręciła z głównej ścieżki w dróżkę schodzącą do niewielkiej, nieckowatej dolinki, na końcu której stała niska chatka o nieregularnych kształtach, zbudowana z grubo ciosanych bali, otoczona werandą. Okna miała wyposażone w okiennice, na dachu sterczał kamienny komin.

- Przypomina domek myśliwski - szepnął Jupiter.

- Patrz! - syknął Pete.

W kierunku chatki przesuwał się dróżką jakiś ciemny, prostokątny kształt. Kiedy się do niej zbliżył, chłopcy rozpoznali ciężarówkę z wyłączonymi światłami. Pojazd zwolnił i zatrzymał się obok człowieka, którego tropili. Z kabiny kierowcy wysiadł drugi człowiek, krępy i niewysoki. Uciał krótką rozmowę z tym pierwszym, po czym przeszedł na tył ciężarówki i opuścił klapę.

Z pojazdu wyskoczyły cztery postacie. Niewysoki ustawił je w szeregu i popchnął w kierunku chaty. Śledzony przez chłopców człowiek zapalił światło i czwórka nowo przybyłych po kolei wkroczyła na ganek.

- Jejku! - szepnął Pete.

Widok był zaiste niesamowity. Cztery niewielkie postacie miały tylko tułowia!

- G... gdzie podziały się ich głowy? - spytał drżącym głosem Pete.

Nawet Jupiterowi odjęło mowę.

- N...nie w...wiem - wyjąkał po chwili. - W...wyglądają jak bezgłowe karły.

Dwaj detektywi popatrzyli na siebie w ciemnościach.

- Co tu się dzieje? - w końcu zadał pytanie Pete.

- Nie mam pojęcia - odparł szczerze Jupiter, też wyraźnie poruszony widokiem czterech bezgłowych postaci. - Jeśli zdołamy podejść bliżej, może uda się nam coś zobaczyć przez okna.

Chłopcy wpatrywali się w oświetloną już teraz chatkę i rozważali, jak by tu się do niej zbliżyć.

Nagle niemal tuż obok nich nocne ciemności rozdarł pełen grozy śmiech. Nie zastanawiając się ani chwili, dwaj detektywi na łeb na szyję rzucili się do ucieczki.

W tym samym czasie, gdy Jupiter i Pete biegli szaleńczo przez las na terenie posiadłości Sandowów, Bob opuszczał miejską bibliotekę, zadowolony z wyników swych poszukiwań. Pilno mu było jak najszybciej znaleźć się w Kwaterze Głównej. Nie zastał kolegów w biurze, więc zostawił wiadomość z prośbą, aby zadzwonili do niego po powrocie.

Kiedy dotarł do domu, jego tata słuchał akurat stacji nadającej miejscowe wiadomości. Tata Boba pracował w Los Angeles w redakcji gazety i jeśli mógł, nigdy nie przepuszczał serwisu informacyjnego. Bob poszedł do kuchni, gdzie dostał od mamy szklankę mleka i ciasteczka.

- Czy znalazłeś w bibliotece to, czego szukałeś? - spytała pani Andrews.

- Jasne, mam, tyle że Pete i Jupiter jeszcze nie wrócili.

Do kuchni wkroczył tata. Miał niezwykle przygnębioną minę.

- Dokąd zmierza ten świat? - rzucił retoryczne pytanie. - Właśnie usłyszałem, że dziś po południu jakiś człowiek został zaatakowany w Rocky Beach.

- W Rocky Beach? - zawołała pani Andrews. - To straszne. Kto to zrobił?

- Przypuszczalnie jacyś fanatycy. Zaatakowany był prezesem klubu wegetariańskiego czy czegoś w tym stylu i właśnie wygłaszał odczyt, kiedy dwóch mężczyzn ubranych na biało wbiegło na podium i rzuciło się na niego. Sprawozdawca dodał, że obaj byli ciemnoskórzy. Bob zachłysnął się mlekiem.

- Ciemnoskórzy mężczyźni, tato?

- Tak podają.

- Czy zranili ofiarę? - spytała pani Andrews.

- Chyba nie. Po napadzie obaj zdołali uciec.

- Jak on się nazywał? - zapytał szybko Bob.

- Kto?

- No, ten zaatakowany. Ten wegetarianin.

- Czekaj, niech pomyślę. - Pan Andrews podrapał się po głowie. - O ile dobrze

usłyszałem, Harris. Albert Harris. Prezes Stowarzyszenia Wegetarian.

Bob miał absolutną pewność, że pan Harris padł ofiarą tych samych rzezimieszków, którzy ukradli Jupiterowi amulet. Rodzice pograżyli się w rozmowie na temat skandalicznych napadów, a ich syn szybko dopił mleko i po cichu wyśliznął się z kuchni. Musiał jak najszybciej zawiadomić kolegów. Jedno bowiem nie ulegało wątpliwości: kimkolwiek byli ciemnoskórzy napastnicy i czegokolwiek chcieli, nie chodziło im tylko o złoty posążek.

W Kwaterze Głównej nikt nie odpowiadał na telefon. Jupiter i Pete jeszcze nie wrócili.

Dwaj detektywi skulili się w kępie drzew, daleko od chatki, w pobliżu której usłyszeli przeraźliwy śmiech, niemal pozbawiający ich zmysłów. Pot lał się z nich strumieniami, mieli podrapane ręce i nogi poobijane od częstego potyknięcia się o wystające korzenie. Drżeli jak liście osiki; wydawało im się, że cudem uszli cało.

Pete usiłował przebić wzrokiem panujące egipskie ciemności.

- Widzisz coś, Jupe? - spytał przyjaciela.

- Nie, ale myślę, że teraz już jesteśmy bezpieczni.

- Wcale się tak nie czuję - mruknął Pete. - Co to były za stwory, te bezgłowe karły?

- Musi być jakieś proste wyjaśnienie - odparł zdenerwowany Jupiter. - Nie widzieliśmy wszystkiego zbyt wyraźnie. Może gdybyśmy wrócili i zajrzeli przez okno...

- O nie, ja się wypisuję! - krzyknął Pete. - Póki ten śmiejący się cień grasuje sobie swobodnie... Jupiter westchnął ciężko.

- Chyba masz rację. Jednakże nie widziałem go, kiedy śmiał się po raz ostatni...

- I po co miałbyś widzieć! Zwiewajmy stąd jak najszybciej.

Jupiter na chwilę zamyślił się głęboko. Pete z niepokojem oczekiwał jego decyzji.

- Mam przecucie, Pete, że ciemnoskórzy napastnicy i śmiejący się cień to postaci z tej samej bajki.

- Pewnie tak, tylko jakie są między nimi powiązania?

- To właśnie musimy odkryć - powiedział Jupiter. - Ale zgadzam się z tobą, że teraz lepiej wrócić do domu.

- Czekałem na te słowa! - ucieszył się Pete.

Obaj ruszyli w kierunku odległej drogi. Już nie potykali się tak często i nie wpadali w dziury, ale i tak posuwali się bardzo powoli. W końcu dotarli do muru i poszli wzdłuż niego aż do miejsca, gdzie ukryli worek.

Jupiter rzucił linę zakończoną hakiem, ale tym razem dwukrotnie nie udało mu się



zaczepić jej o mur. Za trzecim razem spróbował to zrobić Pete i jego wysiłek zakończył się powodzeniem. Właśnie sprawdzał wytrzymałość zaczepu, kiedy nagle usłyszeli coś jakby trzask odbezpieczanej broni.

- Ejże, wyłaźcie stamtąd, wy dwaj!

Na drodze stała jakaś wysoka postać, trzymająca strzelbę wymierzoną prosto w chłopców.

W tej sytuacji mogli tylko jak najszybciej wyjść spośród kępy krzaków. Wtem Jupiter wybuchnął śmiechem.

- Ted! To przecież my, Jupiter Jones i Pete Crenshaw.

Ted nie uśmiechnął się i nie opuścił strzelby. Patrzył podejrzliwie na obu detektywów.

- Co tu robicie? - spytał chłodno.

- Ted, przecież to my - zachnął się Pete. - Pracujemy dla twojej cioci.

- O tej porze? - warknął Ted. - Węsząc dokoła w ciemnościach? Nie wspominaliście słowem, że przyjdziecie na przespiegi. Gdzie się szwendaliście?

- Rozglądaliśmy się dokoła. Pomyśleliśmy, że amulet mógł zostać zgubiony w pobliżu bramy, albo że złodziej spróbuje tu wrócić pod osłoną ciemności - wyjaśnił gładko Jupiter. - Obiecaliśmy twojej cioci, że dołożymy wszelkich starań, by odszukać posążek.

Ted zawahał się.

- Nie wiem, czy powinienem wam wierzyć...

- A co my mamy powiedzieć? - wybuchnął Pete. - Przez cały czas wiedziałeś, że jesteśmy detektywami. Przecież znalazłeś naszą wizytówkę!

Jupiter kopnął przyjaciela w kostkę, żeby przestał gadać, ale było za późno. Ted Sandow ze zdumieniem wpatrywał się w chłopca.

- Skąd wy to wiecie? - zapytał w końcu.

Pete wyjaśnił mu, że popełnił błąd, pytając o znaki zapytania, zanim obejrzał wizytówkę. Ted jakoś przełknął upokorzenie. Był pełen podziwu dla sprytu młodych detektywów.

- Dobrzy jesteście! - pochwalił chłopców. Uśmiechnął się i w końcu opuścił strzelbę. - Rzeczywiście znalazłem obok bramy waszą wizytówkę. Powiedziałem o tym panu Harrisowi, ale on uważał, że to może być czysty zbieg okoliczności, i poradził mi, żebym był ostrożny w wyciąganiu wniosków, bo mogę się mylić. Spytałem więc adwokata cioci Sary, czy wie coś na temat chłopców z Rocky Beach, którzy nazywają siebie Trzema Detektywami, a on, jak już wam mówiłem, odesłał mnie do Skinnera Norrisa. W taki oto sposób dowiedziałem się o detektywach i o składzie złomu, i wpadłem na pomysł, żeby zbliżyć się do was, oferując

sprzedaż staroci ze stodoły cioci Sary. Tak się przedstawia cała sprawa.

Pete nagle doznał olśnienia.

- Myślałeś, że to my jesteśmy złodziejami, którzy ukradli posążek!

- Przyznaję, że tak było - potwierdził Ted. - Podzieliłem się podejrzeniami z panem Harrisem, ale on nie był pewien, czy mam rację. Sądził, że prawdziwy złodziej zgubił posążek, a wy go po prostu znaleźliście. Wymyśliliśmy więc, że ściągniemy was tutaj, zaproponujemy nagrodę i w ten sposób skłonimy do zwrotu cennej dla nas pamiątki, bo będziecie mogli się pochwalić, że odnieśliście sukces, wyciągając figurkę z rąk złodziei.

Jupiter rozważał usłyszaną przed chwilą opowieść.

- Skoro podejrzewałeś nas, że ukradliśmy posążek, dlaczego po prostu nie oskarżyłeś nas o to? - zapytał.

- Mówiłem już, że zdaniem pana Harrisa figurka przez przypadek wpadła w wasze ręce. Ostrzegam, że niebezpiecznie jest oskarżać kogoś bez dowodów.

- No dobrze, to skoro uznałeś, że niechcący staliśmy się posiadaczami statuetki, czemu nie poprosiłeś najzwyczajniej w świecie, byśmy ją oddali?

- Zastanawialiśmy się z panem Harrisem i nad tym, ale on uznał, że nie będziecie chcieli się przyznać i że możecie się obawiać zgłosić do nas.

- Postanowiłeś więc nawiązać z nami kontakt - Jupiter zadumał się na chwilę - zaproponować nagrodę za znalezienie amuletu i udawać, że nie wiesz o tym, iż może on być w naszych rękach. Oferowałeś nam honorowe wyjście z sytuacji oraz premię.

- Mniej więcej tak to było - przyznał Ted. - Wybaczcie, chłopaki, ale w końcu nie znałem was przecież. Teraz jestem pewien, że po prostu oddalibyście amulet. Bo znaleźliście go, prawda?

- Bob i Pete znaleźli - przyznał Jupiter - ale nie możemy go zwrócić, bo już go nie mamy.

Jupiter streścił pokrótce historię kradzieży amuletu.

- To znaczy, że przepadł na wieki. - Ted był załamany.

Jupiter powoli pokręcił głową,

- Moim zdaniem nadal mamy szansę go odzyskać, o ile wpadniemy na trop złodzieja.

- Macie jakieś swoje tajne sposoby? Może mógłbym w czymś pomóc? Naprawdę chętnie bym z wami współpracował.

- Może i mógłbyś pomóc, Ted - zgodził się Jupiter. - Miej oczy szeroko otwarte na to, co tu się dzieje, a kiedy my znajdziemy ciemnoskórego, damy ci znać.

- Wspaniale! - Ted uśmiechnął się.

- Teraz już jednak pójdziemy do domu. Zrobiło się późno - powiedział Jupiter.

Ted otworzył bramę i wypuścił chłopców. Wsiedli na rowery i wolno popedałowali w kierunku przełęczy. Pete'a przez cały czas dręczyły wątpliwości.

- Jupe, dlaczego nie wspomniałeś Tedowi o tym, co widzieliśmy i słyszeliśmy ubiegłej nocy? O wołaniu o pomoc i śmiejącym się cieniu?

- Bo nie jestem pewien, czy powiedział nam prawdę - odparł ponuro Jupiter. - Gdyby naprawdę podejrzewał, że ukradliśmy amulet, oskarżyłby nas o to bez wahania. Choć jednocześnie, z bliżej nie znanych powodów, Ted nie chce, by ktokolwiek wiedział, w jaki sposób amulet trafił w nasze ręce. Myślę, że on coś ukrywa, Pete!

Pete rozważał to wszystko podczas długiego zjazdu z przełęczy w kierunku Rocky Beach.

## ROZDZIAŁ 9

### “Tam, gdzie nikt go nie znajdzie”

Następnego dnia wczesnym rankiem Bob wstał z łóżka natychmiast po przebudzeniu. Ubrał się szybko i biegnąc na dół, zapukał po drodze do drzwi sypialni rodziców.

- Mamusiu, sam sobie zrobię śniadanie! - zawołał.

- Dobrze, syneczku - odpowiedziała mu zaspanym głosem pani Andrews. - Sprzątnij tylko potem naczynia. Dokąd się dziś wybierasz?

- Do składu złomu.

Zjadł pospiesznie miseczkę płatków, popił sokiem owocowym i zatelefonował do Pete'a. Usłyszał od jego mamy, że przyjaciel poszedł już do składu złomu. Zgodnie z obietnicą zmył naczynia, a potem wsiadł na rower i pojechał.

Na podwórku składu Bob wpadł całym impetem prosto na ciotkę Matyldę.

- No, chociaż jeden z was się znalazł! - zawołała pani Jones. - Kiedy spotkasz pozostałych, powiedz Jupiterowi, że ma jechać dziś rano z nami do Sandowów.

- Dobrze, proszę pani.

Bob lekkim krokiem ruszył na tyły składu, a kiedy już znalazł się poza zasięgiem wzroku ciotki Matyldy, rzucił się pędem w kierunku wejścia do ukrytej przyczepy.

W Kwaterze Głównej zastał Pete'a i Jupitera siedzących ze smętnymi minami obok milczącego telefonu.

- Nic, żadnej wiadomości - oświadczył przygnębiony Pete.

Chłopcy zdążyli już przesłuchać automatyczną sekretarkę, wykonaną przez Jupitera domowym sposobem. Taśma była pusta.

- Coś tym razem nasz system nie działa - przyznał Jupiter.

- Może za wcześnie się martwisz - Bob nie tracił optymizmu. - Posłuchajcie, co wczoraj odnalazłem w bibliotece.

- Raczej ty posłuchaj, co my widzieliśmy - odparł na to Pete i opowiedział o nocnej przygodzie.

Bob zrobił wielkie oczy na wzmiankę o Tedzie, bezgłowych karłach i śmiejącym się cieniu.

- Oczywiście to nie były żadne bezgłowe karły, ale te postacie tak wyglądały. Miałem nadzieję, że dziś rano dostaniemy jakąś wiadomość. Myślę, że ciemnoskórzy napastnicy stanowią klucz do całej zagadki. Gdybyśmy tylko wiedzieli, kim są i czego chcą. Bob, a co ty

przeczytałeś na temat Skarbu Chumashów? - spytał Jupiter.

- Po rozproszeniu się bandy renegatów - zaczął opowieść Bob - wszyscy zaczęli szukać Skarbu. Poszukiwania trwały długo i okazały się bezskuteczne. Członkowie bandy mieli kryjówki porozrzucane po całych górach. Posiadłość Sandowów była zaledwie jednym z miejsc, gdzie się chowali. Nikt nie trafił nawet na najmniejszy ślad Skarbu, nie znalazł żadnego klucza do rozwiązania zagadki dotyczącej jego ukrycia.

- A brat panny Sandow, ten, który miał te dwa amulety? - spytał Pete. - Czy historycy wspominają coś o nim?

- Tak - odparł Bob. - Miał na imię Mark. Zabił człowieka i musiał ratować się ucieczką. Z tym zabitym to jakaś dziwna sprawa; był myśliwym, mieszkał na wzgórzach na terenie posiadłości. Nikt nie wie, dlaczego Mark Sandow go zabił. W dokumentach nie ma ani słowa na temat dwóch amuletów.

- Profesor Meeker też nigdy o nich nie słyszał. - Jupiter w zamyśleniu zmarszczył czoło. - Czy znalazłeś jakąś wzmiankę o tym, co dokładnie powiedział przed śmiercią Magnus Verde?

- Znalazłem informacje w czterech różnych książkach i każda była inna! - Bob przerzucił kartki notesu. - W jednej w ten sposób cytują to, co rzekomo powiedział Verde: "Który człowiek może odnaleźć oko niebios?" W następnej przytaczają takie słowa: "Oko niebios nie znajduje żadnego człowieka". W pozostałych dwóch źródłach jest identyczny cytat: "To jest w oku niebios, gdzie nikt go nie znajdzie". Sądzę, że bardzo trudno było przetłumaczyć te zdania z języka Chumashów.

- Profesor też przyznał, że to niełatwe zadanie - przypomniał Jupiter. - Zdania są poza tym bardzo proste. Każde nawiązuje do "oka niebios", o czym profesor nie wspominał, i wszystkie mówią, że Magnus Verde był pewien, iż nikt nie znajdzie Skarbu.

- Co jednak oznacza to "oko niebios"? - spytał Pete.

Jupiter zastanowił się chwilę.

- Co jest takiego na niebie, co mogłoby przypominać oko?

- Niektóre chmury? - próbował domyślić się Pete.

- Słońce - powiedział Bob.

- Albo księżyc. Wygląda jak twarz.

- Przecież nie mogli ukryć łupów na słońcu albo na księżycu - zaproponował Pete.

- Zrozumiałeś to zbyt dosłownie. Tu może chodzić o punkt, na który zawsze w ten sam sposób padają promienie słońca lub światło księżyca. Jak niegdyś na niektóre świątynie.

- To prawda - przyznał Bob. - Kiedyś budowniczości świątyni zostawiali dziurę w

dachu, przez którą promienie słońca padały prosto na ołtarz.

- Tylko że trzeba by wtedy trafić na właściwe miejsce we właściwym czasie - powiedział Jupiter nieszczęśliwym głosem. Pete rozumiał przygnębienie przyjaciela.

- Masz na myśli to, że musielibyśmy trafić na konkretne miejsce i w dokładnie określonym momencie, żeby w ogóle mieć pewność, że słońce lub księżyc oświetlają je w jakiś specjalny sposób.

- Niestety tak - Jupiter najwyraźniej był przybity nowo dokonany odkryciem. Nagle jednak rozchmurzył się. - Z tych słów nie wynika, żeby chodziło o takie komplikacje. Może Magnus Verde miał na myśli to, że słońce lub księżyc wyglądają jak oko, jeśli patrzeć na nie z jakiejś określonej przełęczy lub doliny. Przychodzi wam do głowy, gdzie mogłyby być w pobliżu takie miejsca?

- Do licha, Juve, nawet nie słyszałem o czymś podobnym - powiedział Pete. - A jeśli to w ogóle nie chodzi o żadne miejsce w tej okolicy? Bob mówił przecież, że Chumashe wszędzie mieli swe kryjówki.

- A Magnus Verde oświadczył, że Skarbu "nikt nie znajdzie".

- Jestem pewien, że Magnus Verde wymyślił tę zagadkę na użytek swoich oprawców - stwierdził Jupiter. - Gdybyśmy tylko zdołali się dowiedzieć, dlaczego ciemnoskórzy złodzieje tak bardzo chcieli zdobyć posążek.

- Do licha, zapomniałem wam powiedzieć o czymś jeszcze. Nasz złodziej i jego kumpel napadli na pana Harrisa! - wykrzyknął Bob i powtórzył informację z dziennika, którego jego tata słuchał poprzedniego wieczoru.

Jupiter aż podskoczył z podniecenia.

- Idziemy do pana Harrisa! - zawołał. - Koniecznie musimy z nim porozmawiać. Mógł przypadkiem dowiedzieć się czegoś ważnego.

Jeden z nas zostanie przy telefonie. Automatyczna sekretarka nie umie zadawać pytań.

- Teraz kolej na Pete'a - przypomniał Bob.

- Zgadza się - potwierdził Drugi Detektyw.

- Weźmiemy ze sobą walkie-talkie, żeby Pete mógł się z nami skontaktować, jeśli jakiś "duch" się odezwie - ustalił Jupiter.

Chłopcy znaleźli adres Stowarzyszenia Wegetarian i pojechali tam na rowerach. Droga do siedziby Stowarzyszenia, które mieściło się w dużym domu w stylu gotyckim przy ulicy Las Palmas, zajęła im około dziesięciu minut. Gotycki dom był ostatnim budynkiem na tej ulicy na skraju miasta. Po jej drugiej stronie ciągnęły się góry, ciemne i nieprzyjazne. Za domami na Las Palmas biegła aleja, przy której mieszkańcy mieli garaże.

Chłopcy zostawili rowery przy bramie, przeszli do frontowych drzwi domu i nacisnęli dzwonek przy wejściu. Otworzył im niewysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna, którego spytali o prezesa Stowarzyszenia.

- Chłopcy, jak miło was widzieć! - zawołał pan Harris, pojawiając się po chwili. - W porządku, Sanders - zwrócił się do atlety - znam tych młodzieńców. Zapraszam do środka. Nie spodziewałem się, że tak szybko was tu zobaczę. Chcecie wstąpić do Stowarzyszenia?

Pan Sanders, najwyraźniej pracownik zatrudniony przez pana Harrisa, wrócił do rozpakowywania niezliczonej liczby pudełek zalegających ciemny hol. Jupiter pospiesznie wyjaśnił, że nie przyszli tu w celu krzewienia idei wegetarianizmu.

- Wie pan, chcielibyśmy tylko z panem porozmawiać.

- Skoro tak, to chodźmy do mego biura. Uważajcie pod nogi, jeszcze się tu na dobre nie urządziliśmy. Szkoda, że nie chcecie przyłączyć się do nas. Potrzebna nam wszelka pomoc. Wszystko muszę robić ja i dwaj moi najbardziej ofiarni asystenci.

Chłopcy przedarli się jakoś przez stosy książek, broszur, pudełek, szuflad wypełnionych papierzyskami. Przez ciężkie dębowe drzwi weszli do wielkiego, słonecznego pokoju pełniącego rolę biura. Pan Harris usiadł za staromodnym biurkiem, a chłopcom wskazał miejsca na krzesłach.

- No to mówcie, co was tu przywiodło.

- Słyszeliśmy o napadzie na pana - wyjaśnił Jupiter.

- Ach tak. Akurat stałem na podium i wygłaszałem małą pogadankę, kiedy ten szaleniec po prostu skoczył na mnie. Ściśle mówiąc było ich dwóch, ale tylko jeden mnie zaatakował. Bronilem się, rzecz jasna, a któryś ze słuchaczy poszedł zadzwonić na policję. Tamci dwaj dali drapakę.

- Dlaczego napadli na pana? - spytał Bob.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Mówili coś? - indagował Jupiter.

- Coś tam szwargotali, ale nic z tego nie zrozumiałem. Nie mówili po angielsku. Próbowałem ich złapać, ale wymknęli się obaj, zanim nadjechała policja. Przypuszczam, że to jacyś fanatycy, którzy nienawidzą wegetarian. Wiele razy musieliśmy stawić czoło podobnym przejawom nietolerancji. Ludzie często nienawidzą tego, kto różni się od nich. Ignorancja nie pozwala na pozbycie się uprzedzeń.

- Generalnie zgadzam się z panem, ale tym razem chodziło o coś zupełnie innego. Atak na pana nie miał nic wspólnego z pana przekonaniami - wyjaśnił Jupiter.

Słowa chłopca zadziwiły pana Harrisa.

- No to o co im chodziło? Macie jakiś pomysł?

- Mamy! - zawołał Bob. - Wiemy, że...

Bob przerwał nagle, zaniepokojony jakimiś dźwiękami dobiegającymi skądś z biura. Pan Harris też je usłyszał i zaczął rozglądać się z niepokojem. W końcu Bob zrozumiał, co słyszy. Było to słabe buczenie walkie-talkie. Najprawdopodobniej Pete usiłował skontaktować się z przyjaciółmi.

Jupiter słysząc ciche bip-bip odwrócił się raptownie.

- Przykro mi, proszę pana, ale musimy już iść. Postaramy się wrócić jak najszybciej.

- Dobrze, Jupiterze - powiedział pan Harris. - Będę tu jeszcze przez jakiś czas, a potem pójde odwiedzić pannę Sandow. Składam jej wizyty każdego dnia. W końcu bez jej pomocy nie uruchomiłbym oddziału Stowarzyszenia w Rocky Beach.

- Tak, proszę pana! - zawołał Jupiter, wybiegając z biura.

Chłopcy zdawali sobie sprawę, że z odległości, jaka ich dzieliła, Pete nie zdoła porozumieć się z nimi przez walkie-talkie, jeśli będą przebywać w zamkniętym pomieszczeniu. Szybko przemierzili hol, nie bacząc na porozrzucone sterty papierów, i znaleźli się w rozświetlonym słońcem ogrodzie przed domem. Jupiter wypatrzył gęstą kępę krzaków między wejściowymi drzwiami a bramą i chłopcy przycupnęli w niej, by móc spokojnie połączyć się z Pete'em.

Jupiter wcisnął guzik nadawczy.

- Tu Pierwszy. Tu Pierwszy. Drugi, odezwij się. Odbiór.

Z małego walkie-talkie dobiegł słaby głos Pete'a. Jupiter i Bob nachylili się nad urządzeniem, by lepiej słyszeć.

- Tu Drugi. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

- Słyszemy cię. Nadawaj. Odbiór - powiedział Jupiter do nadajnika.

- Jupe? - Głos Pete'a drżał z podniecenia. - Właśnie nadeszła wiadomość. Jakiś dzieciak widział naszych ciemnoskórych! Zaparkowali samochód na Las Palmas w pobliżu...

- Jupe! - krzyknął Bob. - Widzę ich! Są tutaj!

Jupiter zerwał się na równe nogi. Wcisnął guzik nadajnika, rozłączając się z Pete'em, lecz ani mu była teraz w głowie rozmowa. Jeden z ciemnoskórych napastników w dziwnym białym stroju stał przy bramie obok rowerów. Drugi znajdował się między parą detektywów a wejściem do budynku. Obaj ze złowieszczymi minami zaczęli zbliżać się, wywijając nożami. Chłopcy nie mogli dobiec do rowerów, mieli też odciętą drogę do budynku.

- Na wzgórze, Bob! - krzyknął Jupiter.



## ROZDZIAŁ 10

### Pościg na wzgórzach

Chłopcy odwrócili się i popędzili w kierunku pobliskich wzgórz. Za plecami słyszeli krzyki napastników. Nie oglądając się za siebie, dobiegli do końca ogrodu i przeskoczyli niskie ogrodzenie.

- Na wzgórze! - wysapał Jupiter.

Przebiegli przez drogę i wkrótce znaleźli się u podnóża pasma niewysokich gór, otaczających pierścieniem Rocky Beach. Zaczęli wspinać się po stromym stoku. Bob prowadził, a Jupiter, dysząc i posapując, ciągnął za nim. Przedzierali się przez porastające zbocze kępy wysuszonych słońcem karłowatych dębów, rozdzierając ubrania o grube, ostre gałęzie. Przez cały czas towarzyszyły im wrzaski ścigających ich ciemnoskórych mężczyzn.

- Co znaczą te ich okrzyki? - spytał urywanym głosem Bob.

- Nie wiem! Nie rozumiem ani słowa! - zawołał Jupiter. - Nie zatrzymujmy się.

- Damy radę zostawić ich w tyle?

- Mam... mam nadzieję.

Osiągnęli grzbiet pierwszego ze wzgórz, którym biegła wydeptana ścieżka. Czuli, że udało im się znacznie wyprzedzić zbirów. Stojąc po drugiej stronie zbocza na chwilę stracili ich z oczu. Pobiegli ścieżką, oddalając się od Rocky Beach, Stowarzyszenia Wegetarian i porzuconych przed nim rowerów, ale zdawali sobie sprawę, że na razie nie mają innego wyjścia. Z wysiłkiem parli naprzód, cały czas wypatrując drogi ucieczki.

- Tylko nie to! - zawołał nagle Bob.

Dróżka urywała się niespodziewanie na skraju głębokiego wąwozu. Kiedyś oba jego brzegi połączone były mostem, po którym pozostały jedynie wspomnienia. Strome ściany wąwozu były zbyt niebezpieczne, by po nich schodzić. Chłopcy zatrzymali się przerażeni.

- Nie ma rady, musimy iść dalej. - Jupiter wskazał pokryty pyłem stok góry królującej nad całym Rocky Beach. Podczas mozolnej wspinaczki słyszeli dochodzące z dołu głosy napastników, którzy zdążyli dostrzec chłopców i wytrwale podążali ich śladem. Detektywi obejrzeni się za siebie i zauważyli, że ścigający zaczęli niezwykle szybko i sprawnie pokonywać różnicę wysokości.

- Doganiają nas! - krzyknął z rozpaczą Bob.

- Nie zatrzymuj się! - wołał Jupiter.

Pięli się więc dalej w górę w palących promieniach słońca. Chwilami ułatwiali sobie

wspinaczkę, podpierając się rękami i kolanami. Dłonie mieli poranione od ostrych jak stal gałęzi karłowatych dębów. W końcu znaleźli się na grzbiecie góry. Jupiter padł na ziemię bez tchu. Bob spojrzał w dół.

- Cały czas nas gonia!

- Niech dogonia. Wszystko mi jedno. Umieram ze zmęczenia.

Bob przysłonił dłonią oczy.

- Biegamy szybciej niż oni, ale biją nas na głowę we wspinaczce. Skaczą po górach jak kozice. Słuchaj, a może ci dwaj są z plemienia Yaquali, z tych Skalnych Diabłów?

Jupiter wytężył siły i spróbował się podnieść. Perspektywa zobaczenia dwóch Indian Yaquali wyraźnie go ożywiła.

- Pewnie rozmawiają w swoim języku. Nic dziwnego, że nie możemy ich zrozumieć.

- Wszystko mi jedno, mogą mówić nawet po chińsku - oświadczył Bob. - Obchodzi mnie tylko to, jak stąd uciec. Sądzisz, że pan Harris zauważył, że ci dwaj nas ścigają?

- Wątpię. - Jupiter usiłował wypatrzeć, co dzieje się w dole, na ulicy Las Palmas. - Wokół siedziby Stowarzyszenia panuje spokój i cisza.

- Gdybyśmy tylko zdołali dotrzeć do rowerów!

- Nie damy rady. Mamy odciętą drogę. Możemy tylko uciekać.

- Dokąd? - spytał z rozpaczą Bob, spoglądając na jałowe, spalone słońcem górskie zbocza. Nagle w jego oczach zabłysły radosne iskierki. - Jupe, chodź za mną. Już wiem, gdzie jesteśmy. Chyba znam drogę odwrotu.

Bob zaczął biec ścieżką wijącą się grzbietem góry, Jupiter ledwo dysząc starał się trzymać tuż za nim. Znowu byli niewidzialni dla ścigających. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej Bob skierował się ku trudno dostępnej gęstej kępie karłowatych dębów.

- Dokąd biegniemy? - spytał zasapanym głosem Jupiter.

- O, tam.

Jupiter wpatrywał się w przyjaciela, który dążył prosto ku zwartej ścianie uschłych drzew.

- Nie widzę...

Zanim Jupiter zdążył skończyć zdanie, Bob zniknął w gęstych zaroślach. Jupiter zanurkował w gęstwinę w ślad za nim i nagle poczuł, że spada w przepaść!

Wylądował po chwili na dnie wąskiego jaru, zamaskowanego z obu stron przez zarośla. Zdyszany i potłuczony, usiadł powoli, ostrożnie strzepując z siebie pył i kawałki połamanych gałęzi.

- Mogłeś mnie uprzedzić - poskarżył się, patrząc na swego kompana.

- Nie było czasu. Sam niegdyś wpadłem do tego jaru, kiedy polowałem na węża. Tu nas nie znajdują.

- Być może - Jupiter nie był całkiem pewien.

- Ciii - syknął Bob.

Chłopcy przywarli do ziemi i cichutko podczołgali się do brzegu jaru. Bob wyciągnął szyję i popatrzył przez mały prześwit w plątaninie gałęzi. Ciemnoskórzy mężczyźni stali nie dalej niż piętnaście metrów od ich kryjówki! Wskazywali rękoma dokoła i sprzeczali się o coś.

- Wiedzą, że jesteśmy gdzieś w pobliżu - powiedział Jupiter.

- Co zrobimy? - spytał Bob.

- Nic. Będziemy siedzieć cicho - odparł Jupiter.

Leżeli w milczeniu, nasłuchując. Napastnicy przechadzali się i rozmawiali gdzieś powyżej dobrze zamaskowanej zbitymi zaroślami kryjówki chłopców. Ci doskonale słyszeli głosy swych prześladowców, ale nie mieli pojęcia, o czym oni mówią. Wiedzieli jedynie, że brzmi to groźnie.

Bezradni detektywi mogli tylko czekać. Głosy przybliżyły się. Chłopcy usłyszeli szelest i trzask towarzyszący rozgarnianiu gałęzi na boki.

- Obawiam się, że znalezienie nas to dla nich tylko kwestia czasu - wyszeptał Jupiter. - Zdają sobie najwyraźniej sprawę, że nie wydostaliśmy się stąd.

- Jar jest dobrze ukryty. Mogą go ominąć.

- Lub wpaść do niego niechcący. Czy jest jakiś sposób, by wymknąć się stąd, nie będąc widzianym?

Bob zastanowił się przez chwilę.

- Po lewej stronie jest wielki wąwóz, którym można zejść w dół prosto do drogi w pobliżu Stowarzyszenia Wegetarian. Musielibyśmy jedynie pokonać około piętnastu metrów otwartej przestrzeni, by się do niego dostać.

- Piętnaście metrów otwartej przestrzeni? - Jupiter zmarszczył czoło, zastanawiając się nad czymś głęboko. - Musimy wymyślić jakiś sposób, by odwrócić ich uwagę. Gdyby tak ściągnąć ich do tego jaru na czas, gdy będziemy biegli do wąwozu.

- Szkoda, że nie jesteśmy brzuchomówcami. Moglibyśmy udawać, że nasze głosy dochodzą stąd, i napastnicy przybiegliby do jaru, a tymczasem gnalibyśmy już w kierunku wąwozu.

- Bob, to genialny pomysł! - szepnął podekscytowany Jupiter.

- Jak to? Przecież nie jesteśmy brzuchomówcami i nie możemy udawać, że nasze

głosy wychodzą skądkolwiek indziej niż z naszych gardeł.

- Możemy, dzięki elektronic! - Jupiter wyjął walkie-talkie. - Zostawimy jeden aparat tutaj, nastawiony na cały regulator i z włączonym odbiorem. Następnie pobiegniemy do końca jaru, najbliżej jak się da dużego wąwozu, i...

- Będziemy mówić do drugiego walkie-talkie, a nasze głosy zaczną dochodzić z tego zostawionego w jarze i oni pomyślą, że tam jesteśmy.

- Dokładnie tak - odparł Jupiter. - Usłyszą nas, zejdą, by nas złapać, a my, już poza polem ich widzenia, pognamy co sił do wąwozu. Kiedy już znajdą walkie-talkie, nie będą wiedzieli, gdzie nas szukać.

Chłopcy zrobili, co zamierzali, i cichutko podczołgali się do wylotu jaru.

- Widzisz to duże drzewo po drugiej stronie? - spytał Bob. - Tam właśnie leży wąwóz.

- Zaczynamy - wyszeptał Jupiter. Przykucnął i powiedział do aparatu:

- Bob! Słyszę, jak nadchodzą.

Teraz Bob pochylił się nad walkie-talkie i powiedział swoją kwestię:

- Tu nas nie znajdują! Jesteśmy bezpieczni.

Jupiter nasłuchiwał głosu przyjaciela dochodzącego z miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą obaj się ukrywali. Odezwał się jeszcze raz do nadajnika, a Bob wypatrywał przez krzaki, jak rozwija się akcja.

- Usłyszeli nas. Schodzą do jaru.

- Ruszamy, Bob! - zakomenderował Jupiter.

Puścili się pędem w kierunku wąwozu. Kiedy dobiegli do wysokiego drzewa, odwrócili się. Nigdzie nie było widać ścigających. Chłopcy zaczęli przedzierać się przez wąwóz do odległej drogi.

Oddychając z trudem, dobrnęli jakoś do ulicy, znajdującej się o przecnicę od Stowarzyszenia Wegetarian. Napastnicy zniknęli na dobre.

- Na wszelki wypadek powiedzmy panu Harrisowi, że ciemnoskórzy mężczyźni wrócili - zaproponował Jupiter.

W pobliżu budynku przyspieszyli i po chwili wciskali guzik dzwonka u drzwi wejściowych do siedziby Stowarzyszenia.

Poczekali chwilę, ale nie było odzewu. Bob zaczął stukać. Wewnątrz ciągle panowała cisza. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Tymczasem Jupiter zaglądał przez okno do środka budynku.

- Pewnie poszedł do panny Sandow - powiedział Bob.

- Też tak sędzę - zgodził się z nim Jupiter. - Lepiej szybko stąd zwiewajmy.

Nie rozmawiali już dłużej. Pobiegli po rowery, wsiedli na nie i zaczęli pedałowac ile sił. Zwolnili tempo, dopiero gdy dotarli do składu złomu.

## ROZDZIAŁ 11

### Jupiter zaczyna coś podejrzewać

Ciotka Matylda wypatrzyła Boba i Jupitera, w chwili gdy wjeżdżali do składu złomu.

- Nareszcie was znalazłam! Jupiterze, jesteś gotowy, by jechać do posiadłości Sandowów?

- Tak, ciociu, tylko najpierw coś weźmiemy z mojego warsztatu.

- Pospiesz się, młody człowieku. Konrad i twój wuj czekają.

Chłopcy pobiegli do warsztatu, a potem Tunelem Drugim dostali się do ukrytej pod stertami złomu przyczepy. Pete ciągle trwał na posterunku przy telefonie. Na widok przyjaciół natychmiast się rozgadał.

- Dlaczego przerwaliście połączenie? Usiłowałem wam przekazać ważną informację. Miałem telefon od dwójki dzieciaków. Rozpoznały samochód naszych zbirów, zaparkowany gdzieś na Las Palmas. Potem zadzwoniły jeszcze raz, by przekazać, że ciemnoskórzy gonią jakichś chłopców.

- Wiemy, że to robili - powiedział żalonym tonem Bob.

- To właśnie nas ścigali - dodał Jupiter. Wyjaśnił, że napastnicy pojawili się dokładnie w tej samej chwili, gdy Pete nadawał wiadomość, i opisał cały pościg na wzgórzach.

- A niech to! - zawołał Pete. - Naprawdę mieliście szczęście, że udało wam się umknąć.

- Jupiter okazał się dla nich za sprytny - powiedział Bob.

Jupiter nie miał jednak czasu wysłuchiwać komplementów, był zbyt zajęty układaniem planów.

- Jeśli ci faceci ciągle się kręcą wokół Stowarzyszenia, to muszą czegoś chcieć. Obawiam się, że mogą ponownie zaatakować pana Harrisa. Jeżeli jest teraz u panny Sandow, zobaczę się z nim, gdy pojedę tam z wujem przejrzeć starocie, i opowiem, co spotkało mnie i Boba dziś rano. Ale moim zdaniem i tak powinniście zaraz pojechać do Stowarzyszenia i zaczekać tam na niego, na wypadek gdybym ja się z nim minął u panny Sandow.

- Jupiter, opanuj się, najpierw muszę wpaść do domu coś zjeść - zaprotestował Pete.

- Ja też - poparł kolegę Bob.

- W porządku, ale uwińcie się jak najszybciej i ruszajcie w drogę. Może uda wam się wypatrzeć ciemnoskórych i mieć na nich oko.

- Jupe, przecież dopiero co wymknęliśmy się z ich rąk - zaproponował Bob.

Dla Jupitera ten fakt najwyraźniej nie miał większego znaczenia.

- Jestem przekonany, że ci dwaj szukają czegoś ważnego. Mogą nas doprowadzić do Skarbu Chumashów. Po prostu uważajcie, żeby was nie dostrzegli.

- Sami to wiemy - powiedział Pete.

- Jupe, czy uważasz, że oni są z plemienia Yaquali? - spytał Bob.

- Podejrzewam, że tak - przytaknęła Jupiter. - W jakiś sposób musieli się dowiedzieć o Skarbie Chumashów, być może ze starych indiańskich zapisów lub legend. Niewykluczone, że rozumieją znaczenie ostatnich słów Magnusa Verde.

- Szkoda, że my ich nie rozumiemy - westchnął Pete.

- Ja też żałuję - powiedział Jupiter. - Na pewno mówią, gdzie jest Skarb: "W oku niebios, gdzie nikt go nie znajdzie". Musimy rozwiązać tę zagadkę.

- Jednego nie pojmuję. Skoro domyślili się, co Magnus Verde powiedział, to czego jeszcze szukają?

- Też się zastanawiam - Jupiter przygryzł wargę.

W tym momencie wszyscy usłyszeli dobiegający z oddali głos ciotki Matyldy.

- Jupiterze Jonesie! Gdzie ty się znowu podziewasz?

- Pamiętajcie, chłopcy: idziecie ostrzec pana Harrisa i rozejrzeć się za ciemnoskórymi. Nie możecie dopuścić, by was zauważyli. - Jupiter nie mógł się powstrzymać przed ponownym przekazaniem instrukcji kolegom. - I cały czas myślcie nad znaczeniem słów Magnusa Verde.

Bob i Pete pokiwali głowami, a Jupiter szybko wy dostał się z Kwatery Głównej. Konrad i wuj Tytus siedzieli już w dużej ciężarówce. Ciotka Matylda ładowała do niej kosz z jedzeniem. Jupiter wszedł do kabiny i wuj Tytus polecił Konradowi, by natychmiast ruszał.

Wuj Jupitera, drobny mężczyzna z ogromnymi wąsami, był nietypowym handlarzem starzyzną. Kupował wszystko, co wpadło mu w oko, nie tylko dlatego, że mógłby to sprzedać; wystarczyło, że coś mu się po prostu spodobało.

Ciężarówka wkrótce wyjechała z Rocky Beach i pokonywała stromą i krętą drogę na przełęcz, a po osiągnięciu jej posuwała się dalej, aż do muru otaczającego majątek Sandowów. Żelazna brama była otwarta. Konrad minął ją z rykiem silnika i powoli dotoczył się do budynku stodoły, przed którym zatrzymał pojazd.

Wuj Tytus wyskoczył z kabiny równie ochoczo jak Jupiter, podniecony jak zawsze, kiedy zamierzał kupić jakieś starocie do swego składu. Skierował się do drzwi stodoły i w tej samej chwili z rezydencji wyszła panna Sandow.

- Pan musi być Tytusem Jonesem - zaćwierkotała starsza pani. - Miło mi pana poznać.

Mam nadzieję, że znajdzie pan tu wiele interesujących go przedmiotów. Już zbyt długo gromadzę wszystkie te rzeczy.

- Z pewnością coś wyszukam, łaskawa pani - odparł wuj Tytus z dwornym ukłonem, podkreślając wąsa. - Czy nadal zamierza pani rozstać się ze wszystkim, co się znajduje w tej stodole?

- Jak najbardziej, drogi panie, jak najbardziej! Myślę, że należy to pomieszczenie wyczyścić do końca. Odkąd przybył do mnie mój cioteczny wnuk, nabrałam serca do całej posiadłości. Chciałabym doprowadzić ją do porządku.

- Wobec tego, jeśli szanowna pani zechce mi towarzyszyć, udamy się do stodoły i wybiorę przedmioty, które zamierzam kupić - powiedział wuj Tytus.

Panna Sandow obdarzyła go czarującym uśmiechem i wraz z nim i Konradem poszła przebierać starocie. Jupiter włókł się za nimi, dopóki nie znikli w drzwiach stodoły. Wtedy ruszył żwawo w kierunku rezydencji, by odnaleźć pana Harrisa. Niespodziewanie usłyszał za plecami głos Teda, który pojawił się nie wiadomo skąd.

- Prowadzisz jakieś poszukiwania? - spytał Jupitera przesadnie uprzejmym tonem.

- Poniekąd - przyznał detektyw. - Szukam pana Harrisa.

- Jest w bibliotece.

Ted zaprowadził Jupitera do domu, gdzie w bibliotece rzeczywiście zastali pana Harrisa, czytającego lokalną gazetę. Kiedy prezes Stowarzyszenia Wegetarian zobaczył młodego detektywa, podniósł się szybko i podbiegł do niego żwawo.

- Ted opowiedział mi o wczorajszym nocnym spotkaniu z wami - oznajmił natychmiast. - Przykro mi, że dorzuciłem swoją cegiełkę do obciążających was podejrzeń. Sądziłem, że posążek jest w waszych rękach i uznaliśmy, że to chytre posunięcie - wyznaczyć nagrodę za jego zwrot.

- Rozumiem, proszę pana - odparł spokojnie Jupiter.

- Cieszę się. Opowiedz mi teraz dokładnie, co stało się z figurką.

Jupiter opowiedział, jak to chłopcy, wracając z górskiej wycieczki, usłyszeli wołanie dobiegające z głębi posiadłości, a potem zobaczyli posążek, przelatujący przez mur. Pan Harris słuchał w skupieniu, marszcząc od czasu do czasu brwi. Kiedy Jupiter doszedł do opisu śmiejącego się cienia, Ted zawołał:

- Cień, który śmiał się w obłąkany sposób? To dziwne. Wydawało mi się, że sam słyszałem osobliwy śmiech ubiegłej nocy.

- Jesteś pewien, Jupiterze, że to był śmiech? - dopytywał się pan Harris. - A może to złudzenie spowodowane wyciem wiatru lub wyobraźnią twoich kolegów?



- Nie, proszę pana. Gdzieś na terenie tej posiadłości ukrywa się ktoś, kogo nazywam śmiejącym się cieniem - upierał się Jupiter. - I kimkolwiek on jest, wiadomo, że więzi tu kilku ludzi.

- Więźniowie, tutaj? Naprawdę? - nie mógł uwierzyć Ted.

- Dlaczego? O co tu chodzi? - dopytywał się pan Harris.

- Jestem pewien, że o Skarb Chumashów - odparł Jupiter.

- O co? - spytał podejrzliwie pan Harris.

- O potężną ilość nagromadzonego złota - wyjaśnił Jupiter i przekazał wszystkie informacje, jakie detektywi zdobyli na temat Skarbu.

Pan Harris i Ted słuchali jego rewelacji z otwartymi ustami. Kiedy zamilkł, pan Harris uśmiechnął się.

- Nie bardzo wierzę w całą tę legendę, ale zgadzam się z twoim twierdzeniem, że jakaś niegodziwa przestępcza szajka uwierzyła w nią i teraz wszelkimi metodami szuka rzekomo ukrytego złota. To może być niebezpieczne. Nie jestem pewien, czy powinniście, chłopcy, mieszać się w takie afery.

- Mógłbyś powtórzyć, Jupiterze, co powiedział przed śmiercią ten stary Indianin? - poprosił Ted.

- W skrócie chodziło o to, że Skarb jest "w oku niebios, gdzie nikt nie zdoła go znaleźć".

- Do licha, co to może znaczyć - zastanawiał się Ted. - I co to ma wspólnego z posążkiem cioci Sary. Dlaczego uważasz, że na terenie posiadłości przetrzymywani są więźniowie?

Zanim Jupiter zdążył odpowiedzieć, usłyszeli z zewnątrz wołanie panny Sandow.

- Teodorze! Potrzebuję cię na chwilę. Gdzie jesteś?

Ted wybiegł z domu na wezwanie cioci. Kiedy zostali sami, Jupiter szybko zwrócił się do pana Harrisa:

- Proszę pana! Wiem, że śmiejący się cień istnieje naprawdę, bo sam go słyszałem. I naprawdę są więźniowie na terenie posiadłości. W amulecie była ukryta wiadomość.

- W amulecie? Jaka wiadomość? - Pan Harris miał zaaferowaną minę.

- Wołanie o pomoc - odparł Jupiter.

- Zawiadomiliście policję?

- Nie, bo co moglibyśmy powiedzieć?

- Rozumiem. - Pan Harris rozważał sprawę. - Kiedy słyszałeś śmiejący się cień?

- Ubiegłej nocy, zanim spotkaliśmy Teda - powiedział Jupiter i zdał panu Harrisowi

relację z tego, co on i Pete zaobserwowali w myśliwskiej chatce na terenie posiadłości.

- Co o tym myślisz, Jupiterze?

- Moim zdaniem tym czterem dziwnym postaciom narzucono na głowy worki.

Dlatego wyglądały jak bezgłowe twory.

- Czterech więźniów w chatce? Przetrzymany przez śmiejący się cień? To skandaliczne! - wykrzyknął pan Harris. - Jak coś takiego może mieć miejsce tuż pod nosem panny Sadow?

- Co pan naprawdę wie o Tedzie? - spytał bez ogródek Jupiter.

- O Tedzie? - Pan Harris zamrugnął niepewnie oczami. - Sądzisz, że mógłby być zamieszany w coś takiego? Do pioruna! Zamierzam dokładnie zbadać całą sprawę. Chodźmy, Jupiterze. Chcę przyjrzeć się tej leśnej chatce.

Pan Harris podszedł zdecydowanym krokiem do biurka i otworzył szufladę. Kiedy się odwrócił, w dłoni trzymał pistolet.

## ROZDZIAŁ 12

### Wezwać policję!

Pan Harris i Jupiter maszerowali w ciszy leśną drogą w kierunku drewnianej chatki. Wegetarianin kurczowo ścisnął w dłoni pistolet, na jego czerstwej twarzy malowało się zdecydowanie i powaga.

- Czy sądzisz, że ciemnoskórzy, którzy was zaatakowali i ukradli posążek, to ci sami, co później napadli na mnie? - spytał Jupitera.

- Wszystko na to wskazuje.

- Jeśli to prawda, to również oni mogą być tymi, którzy trzymają gdzieś tutaj więźniów. Lepiej zachowajmy ostrożność.

- Moim zdaniem już dawno opuścili chatkę, zwłaszcza jeśli cień widział mnie i Boba zeszłej nocy.

- To się okaże. Jeżeli są tak zuchwali, by trzymać więźniów na terenie posiadłości, raczej nie będą się bali dwóch chłopców. Nie rozumiem tylko, co knują.

- Ja również, proszę pana - przyznał Jupiter. - Może właśnie ci więźniowie znają miejsce ukrycia Skarbu, a ciemnoskórzy i śmiejący się cień próbują go znaleźć.

- Niewykluczone, że trafiłeś w sedno. Może uda nam się schwytać łotrów na gorącym uczynku.

Przyspieszyli, starając się iść tak cicho, jak było to możliwe w zaciemnionym gęstym lesie, i doszli do rozwidlenia dróg, gdzie zaczynała się mała ścieżka prowadząca do nieckowatej doliny. Zauważyli, że przed chatką nie ma już ciężarówki. W jasne słoneczne południe myśliwski domek nie wyglądał zbyt tajemniczo.

Pan Harris gestem polecił Jupiterowi, by przycisnął się wśród drzew, a sam zaczął ukradkiem przemykać się między drzewami w kierunku chatki. Jupiter przyjrzał się jej dokładnie. Nie zauważył nigdzie jakiegokolwiek ruchu. Okiennice były pootwierane, podobnie jak frontowe drzwi. W tym momencie był już pewien, że w środku nikogo nie ma.

Pan Harris wolał jednak nie ryzykować. Cały czas wolno przesuwał się między drzewami, aż dotarł do skraju otwartej polanki na końcu doliny.

Zatrzymał się na chwilę, przyglądając się chatce. Jupiter, tkwiący na swoim posterunku, poruszył się niespokojnie. Pan Harris jednakże wyszedł spośród drzew i ścisnął w dłoni pistolet, podbiegł do chatki. Jupiter widział, jak zagląda do niej przez okno.

Okrążył ją potem i wszedł szybko do środka. Jupiter zamarł w oczekiwaniu. Usłyszał

jakiś hałas, a potem zobaczył, że pan Harris stoi w otwartych drzwiach i macha do niego ręką. Pierwszy Detektyw szybko dołączył do niego.

- W środku jest teraz pusto, chłopcze. Zajrzałem w każdy kąt. Ale byli tu na pewno, spójrz.

Pan Harris zademonstrował parę białych spodni niewielkiego rozmiaru wykonanych z samodziału, dokładnie takich, jakie mieli na sobie dwaj ciemnoskórzy mężczyźni.

- To z całą pewnością indiański strój waszych ciemnoskórych, którzy musieli tu być. Ciężarówka również. Na drodze widać suche już ślady ropy. Pojazd odjechał stąd jakiś czas temu.

- Czy cokolwiek wskazuje na to, dokąd mogli pojechać? - spytał Jupiter.

- Niczego takiego nie znalazłem, ale rozejrzyjmy się jeszcze. Może ty coś zauważysz.

Obaj weszli do środka. Na pierwszy rzut oka widać było, że wczorajsi nocni goście opuszczali chatkę w pośpiechu. Na stole stały nie pozmywane talerze, leżały puste butelki, wały się resztki jedzenia. Jupiter nie dostrzegł jednak niczego, co w najmniejszy sposób wskazywałoby, dokąd udali się strażnicy i ich więźniowie.

- Tu nic nie zwojujemy - musiał w końcu przyznać. - Ale jestem pewien, że nasi poszukiwani są gdzieś na terenie posiadłości.

- Jest bardzo rozległa, a przeważającą część powierzchni zajmują góry. Obawiam się, że dranie nam uciekli. Pokrzyżowaliście im plany, więc szybko dali drapaka.

- Nie sądzę, proszę pana. Moim zdaniem ciągle próbują coś znaleźć. Rzucili się w pogoń za mną i Bobem, kiedy wyszliśmy z pańskiego biura.

- Ścigali was w pobliżu mojego domu? - Pan Harris ze zdziwieniem wpatrywał się w Jupitera. - Czegóż jeszcze mogli od was chcieć?

- Nie od nas, ale od pana, panie Harris - oświadczył Pierwszy Detektyw.

- A czego, do licha, mogliby chcieć ode mnie?

- To już oni wiedzą. Najpierw ukradli nam amulet, a potem zaatakowali pana podczas wykładu. A dzisiaj, kiedy wyszliśmy z pańskiego biura, zaczęli nas ścigać. Musieli sądzić, że pan wręczył nam coś ważnego.

- Tak, ja... Na Jowisza! Już wiem! - krzyknął pan Harris. - Drugi posążek. Po kradzieży pierwszego zabrałem go do biura, żeby schować w bezpiecznym miejscu. Zupełnie o nim zapomniałem. Najwyraźniej łotrom potrzebne są oba amulety.

- Pewnie dopiero oba razem mogą wskazać miejsce ukrycia Skarbu - Jupiter ochoczo przystał na tę sugestię.

- Tak. Zastanawiam się tylko, skąd ci dwaj wiedzieli, że trzymam w biurze drugi

amulet.

- Musieli zaobserwować, jak pan go tam przeniósł.

- To niemożliwe. Amulet był w pudełeczku w mojej kieszeni. Nie mogli mnie również śledzić w biurze.

- A może któryś z pomocników pana zdradził.

- Wykluczone. To są starzy przyjaciele i w dodatku wegetarianie. Poza tym nic nie wiedzieli o amulecie.

Jupiter skubał dolną wargę, co było widomym znakiem, że się nad czymś głęboko zastanawia.

- Jedną z osób, które wiedziały, że pan ma amulet, jest panna Sandow.

- Nie uwierzę, że mogłaby być w zмовie ze złodziejami. Nawet jeśli chciała szukać Skarbu, to przecież już miała amulety. A ona i Ted są jedynymi...

- Ted? - przerwał panu Harrisowi Jupiter. - On też wiedział?

Pana Harrisa zamurowało na chwilę. Wpatrywał się w Jupitera szeroko otwartymi oczami, po czym wolno wycedził:

- To może być bardzo poważna sprawa, chłopcze. Biedna panna Sandow. Jeśli się dowie, że jej cioteczny wnuk jest zamieszany w jakieś ciemne sprawy, pęknie jej serce.

- Właśnie Ted był przy bramie, kiedy Bob i Pete znaleźli pierwszy amulet - przypomniał Jupiter - i to on wyłonił się z ciemności ubiegłej nocy. Czy pan go dobrze zna, panie Harris?

- Prawdę mówiąc, niemal wcale. Poznaliśmy się w Anglii, kiedy obaj właśnie wybieraliśmy się do Los Angeles. Toteż kiedy Ted powiedział mi, że jego ciotka jest wegetarianką, postanowiłem odwiedzić ją i zdobyć jej poparcie dla naszej sprawy. - Pan Harris przerwał. Spojrzał surowym wzrokiem na Jupitera. - Musimy zaraz porozmawiać z młodym Sandowem. Im prędzej, tym lepiej.

Jupiter musiał biec truchtem, by dotrzymać kroku panu Harrisowi, który spieszył z powrotem do rezydencji Sandowów. Na miejscu zastali wuja Tytusa i Konrada, ciągle zajętych ładowaniem na ciężarówkę staroci ze stodoły panny Sandow. Pan Harris poszedł do domu, by poszukać Teda, a w tym momencie wuj Tytus zauważył Jupitera.

- Tu cię mam, nicponiu! Przyjechałeś tu pracować czy objąć się? - ryknął.

Jupiter z niechęcią poszedł do Konrada i pomógł mu przenieść do ciężarówki stary ozdobny kufer na ubrania. Co chwila zerkał przy tym na drzwi do rezydencji. Czas wydawał się wlec niemiłosiernie. Jupiter był chory z niecierpliwości. W końcu pan Harris pojawił się znowu.

- Ted wyjechał dokądś. Chyba lepiej wróć do biura.

- Jeśli Ted też tam pojechał, zostanie zauważony. Bob i Pete znajdują się teraz w pobliżu siedziby Stowarzyszenia i mają oko na wszystko, co tam się dzieje.

- Słucham? - Pan Harris zdrętwiał z przerażenia.

- Wysłałem ich na poszukiwanie ciemnoskórych.

- Jupiterze! - zawołał pan Harris, blednąc. - Ten drugi amulet jest ciągle w schowku w moim biurze. Jeśli chłopcy wykonają jakiś nie przemyślany ruch, mogą znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie! Natychmiast tam jadę. Twój wuj już prawie skończył robotę. Kiedy tylko wrócisz do Rocky Beach, od razu zawiadom policję.

Wydawszy polecenie Jupiterowi, pan Harris pobiegł do samochodu i ruszył przed siebie na złamanie karku.

## ROZDZIAŁ 13

### W pułapce

Po lunchu Bob i Pete znowu spotkali się w składzie złomu. Przesłuchali taśmę automatycznej sekretarki, ale nie było na niej żadnej wiadomości, więc pojechali prosto do siedziby Stowarzyszenia Wegetarian.

Zbliżali się do niej ostrożnie, wypatrując, czy gdzieś w pobliżu nie ma ciemnoskórych mężczyzn, ale zarówno wielki gotycki dom, jak i jego otoczenie sprawiały wrażenie opustoszałych. Frontowe drzwi zastali zamknięte, nie było też samochodu pana Harrisa.

- Pewnie jest u panny Sandow - uznał Pete.

- Wobec tego Jupe z nim porozmawia - powiedział Bob - ale my i tak zostaniemy tutaj. Nasi napastnicy mogą się pojawić w każdej chwili.

Naprzeciwko siedziby Stowarzyszenia stały dwa ciche domki, między którymi biegła wąska alejka. Pete i Bob postawili tam swoje rowery i przykucnęli obok nich, czekając na rozwój wydarzeń. Słońce prażyło jałowe stoki wzgórz, na których tego ranka ciemnoskórzy mężczyźni ścigali Boba i Jupitera; najmniejszy podmuch nie poruszał rozgrzanego powietrza, panowała martwa cisza. Wysoko ponad szczytami wzgórz szybował samotny sęp. Pete z niepokojem śledził lot wielkiego czarnego ptaka.

- Mam nadzieję, że to ptaszysko nie jest nami zainteresowane - powiedział.

- Sępy są bardzo ważne dla zachowania równowagi w przyrodzie. Oczyszczają pustynie z padliny. Naprawdę są nieszkodliwe i potrzebne.

- Mnie nie są - oświadczył Pete. - Wolę się nie zastanawiać, co takiemu wygłodzonemu osobnikowi chodzi po głowie.

W ciągu godziny żaden nawet najmniejszy samochód nie przejechał zalaną słońcem ulicą. Pete czuł, że narasta w nim zniecierpliwienie, i dla zabicia czasu zaczął się bawić kamyczkami leżącymi w alejce. W pewnym momencie rozprostował nogi, zeszywniałe od długiego kucania, i jęknął.

- W pracy detektywa najbardziej nie lubię tej części, która polega na czekaniu i obserwacji.

- Jupiter uważa, że właśnie ta część jest najważniejsza – odparł Bob. - Prawdziwi detektywi czasami tygodniami tkwią w jednym i tym samym miejscu.

- To nie dla mnie - Pete niecierpliwił się coraz bardziej. - Dlaczego Jupiter sądzi, że ci dwaj ciemnoskórzy tu wrócą?

- Zdaniem Jupitera chcą zdobyć jakąś rzecz, którą ma pan Harris. To może być kolejna wskazówka co do miejsca ukrycia Skarbu.

- Do licha, wobec tego mogą się zjawić w każdej chwili. - Pete ponownie zajął się obserwacją otoczenia.

Nagle uśpioną popołudniowym upałem ulicę wypełnił przytłumiony krzyk.

- Hej, wy tam na zewnątrz! Ratunku!

- Ten krzyk dochodzi z tyłów siedziby Stowarzyszenia - wyszeptał Pete.

- Może pan Harris jest tam uwięziony. Niewykluczone, że złodzieje ponownie go zaatakowali.

Chłopcy zawahali się. Mogą wpaść w tarapaty, o ile ciemnoskórzy kręcą się gdzieś w pobliżu i ich zauważą. Jednakże powinni spróbować pomóc panu Harrisowi, jeśli naprawdę tkwi uwięziony w swym własnym budynku.

- No to co robimy? - spytał Pete.

- Zobaczmy, o co chodzi, ale bądźmy ostrożni. Na widok któregoś z napastników natychmiast uciekamy.

Chłopcy przybrali wojowniczą postawę i przeszli przez pustą ulicę. Wiedzieli, że frontowe drzwi są zamknięte, więc ostrożnie obeszlili dom i sprawdzili, jak ma się sprawa z tylnym wejściem.

- Otwarte - powiedział Pete, kiedy nacisnął klamkę. Popchnął drzwi i chłopcy ruszyli ciemnym korytarzem w kierunku pomieszczenia, które niegdyś było kuchnią. Teraz ziało pustką. Przeszli przez wahadłowe drzwi do zaśmieconego holu. Zatrzymali się, nasłuchując.

- Nic nie słyszę - szepnął Bob.

- Jestem pewien, że wołanie dobiegało gdzieś stąd - upierał się Pete. - Zobaczmy, co dzieje się w biurze.

Weszli ostrożnie do pomieszczenia, które także okazało się puste i spokojne. Bob wskazał na drzwi szafy. Podeszli do niej na palcach i przez chwilę nasłuchiwali. Cisza. Bob powoli uchylał jedno skrzydło drzwi, podczas gdy Pete stał przy drugim, trzymając w rękach ciężki przycisk do papierów, zabrany z biurka pana Harrisa.

Szafa była pusta.

- To wołanie na pewno rozlegało się stąd - nie dawał za wygraną Pete.

- Może pan Harris jest zamknięty w jakiejś dusznej norze i zemdlał z braku powietrza.

- Dobrze mówisz - zgodził się Pete. - Pospieszmy się. Musimy zajrzeć w każdy kąt.

Szybko przeszukali wszystkie pomieszczenia na dole. Kiedy nic nie znaleźli, poszli na pierwsze piętro. Tam znajdowała się duża sala zebrań, przerobiona z trzech mniejszych pokoi.



Przy jednej ze ścian stało podium. Bez wątpienia właśnie tu napadli na pana Harrisa ciemnoskórzy złoczyńcy.

- Hej, hej! Słyszę was. Ratunku! - dobiegło gdzieś z góry wołanie.

- Jest na drugim piętrze - powiedział Bob.

- Chodźmy! - krzyknął Pete, ruszając w kierunku schodów.

Na drugim piętrze panował półmrok. Okiennice były pozamykane, stos desek leżących na podłodze pokrywała gruba warstwa kurzu. Drzwi prowadzące z ciemnego korytarza do wszystkich pokoi były otwarte. Chłopcy przystanęli, nasłuchując uważnie.

Nagle na końcu korytarza rozległ się okropny łomot. Pete schwycił grubą deskę i chłopcy pobiegli tam, skąd dochodził. Pokój, do którego weszli, był zupełnie ogołcony ze sprzętów i nikogo w nim nie było. Zatrzymali się, czekając na kolejny odgłos walenia lub krzyk. W końcu Bob zauważył drzwi w odległym krańcu pomieszczenia.

- Tam, Pete!

Pete przytaknął i obaj chłopcy podeszli do zamkniętych drzwi. Bob nacisnął klamkę, a Pete stał w pogotowiu z dechą w rękach.

- Zamknięte - oznajmił Bob. - Wyłamujemy?

Nagle trzasnęły drzwi łączące pokój z korytarzem. Odwrócili się przestraszeni. Pete mocniej ścisnął w dłoniach deskę, gotów odeprzeć każdy atak. Ale nikogo nie było. Czyżby duch zatrasnął drzwi?

- Pete! - krzyknął Bob.

Zza zamkniętych drzwi usłyszeli szcęk zamka i znajomo brzmiący ohydny rechot.

- Chłoptasie, ale z was głupki! - drwił z uwięzionych detektywów Chudy Norris.

Bob i Pete rzucili się do drzwi, ale były szczelnie zamknięte. Chociaż Pete ciągnął je i pchał, siny z wściekłości, ani drgnęły.

- Chudy, lepiej nas stąd wypuść! - wrzasnął Bob.

- Bo jak nie, porachujemy ci kości, gdy wyjdziemy - zagroził Pete.

- My...

- Ale nie wyjdziecie - urągał Chudy przez zamknięte drzwi. - Pozwolę wam tam zdechnąć. Macie to u mnie jak w banku, wścibskie gnojki. Oj, niedobrze, że nie ma tłuściocha! Chciałbym widzieć, jak ten mądrała was stąd wyciąga.

- Inaczej byś śpiewał, gdyby Jupiter tu był - zawołał ze złością Bob.

- Zamknij się, Andrews! - wrzasnął Chudy. Chory z zazdrości o Jupitera nienawidził, gdy ktoś sugerował, że nie jest partnerem dla Pierwszego Detektywa. - Wpadliśmy, co?

- Sam wpadniesz i się nie pozbierasz - odparł Pete. - Bo co ty tu właściwie robisz?

- Ja? - Skinner zarechotał obrzydliwie. - Pilnuję cudzego mienia! Kiedy przechodziłem obok budynku, usłyszałem jakieś hałasy. Wszedłem do środka i cóż zastałem? Dwa ptaszki-złodziejaszki!

- Zwariowałaś, Chudy! Nikt nie uwierzy w te bzdury.

- Tak myślicie? Frontowe drzwi były zamknięte, w środku żywej duszy. To co robiliście na tyłach? - Skinner zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Miałem oko na skład wuja tłściocha, jeszcze zanim Ted o was pytał. Wiedziałem, że na czymś was przyłapię.

Bob jęknął z rozpaczy.

- Chudy, pan Harris wie, że jesteśmy tutaj. Pracujemy dla panny Sandow.

- Nie próbujcie robić mnie w konia. Ted powiedział, że szuka cennego posążka i myśli, że to wasza trójka go ukradła.

- Bzdury gadasz, Chudy! - krzyknął Pete. - Może i tak myślał, zanim pogadaliśmy. To on nam polecił znaleźć posążek. Dlaczego chcesz być sprytniejszy niż Jupiter?

- Jestem sprytniejszy niż ten tłusty błazen! Musicie się z tym pogodzić. Jeśli tłścioch jest taki genialny, to niech was stąd wyciągnie. Zabieram się. Żegnajcie, mądrale!

Bob spojrzał zrozpaczony na Pete'a, potem podszedł do zamkniętych drzwi. Usłyszał, jak Skinner zbiega na dół, a po dłuższej chwili dobiegł go trzask zamykanych tylnych drzwi.

Obaj detektywi popatrzyli na siebie bezradnie. Znaleźli się w naprawdę kiepskim położeniu.

- Pozamykane okiennice, drzwi solidnie zaryglowane - stwierdził Pete.

- Dom jest stary - podpowiedział Bob. - Może znajdziemy jakąś popękaną ścianę albo ruchomą deskę w podłodze?...

Pete czarno to widział, ale na wszelki wypadek sprawdził podłogę, podczas gdy Bob zajął się ścianami. Niestety i jedno, i drugie były w doskonałym stanie.

- Ściany są mocne jak skała - powiedział ponuro Bob.

- Może pan Harris lub Jupiter wkrótce nadejdą - wyraził nadzieję Pete.

- Nasze rowery ciągle stoją na zewnątrz. Jupe je zauważy.

- Jasne - zgodził się Pete. - Będzie wiedział, że gdzieś tu jesteśmy.

Chłopcy uśmiechnęli się do siebie, ale słabe to były uśmiešky. Zdawali sobie sprawę, że obaj robią dobrą minę do złej gry.

- Może pan Harris zaraz wróci - powiedział tym razem Bob.

- A może nie wróci, a jeśli, to nie zaraz, tylko nie wiadomo kiedy. Może dopiero jutro.

- Musi być jakieś wyjście - nastawał Bob.

Bez większej nadziei rozejrzeli się ponownie po małym pokoju. Mieli świadomość, że dali się nabić w butelkę - uwięzić głupiemu Chudemu Norrisowi.

- Bob! - zawołał Pete, wpatrując się w jakiś punkt za plecami przyjaciela. - Spójrz na te drzwi! Otwierają się do wewnątrz. Zawiasy są od strony pokoju.

- Możemy wypchnąć kołki z zawiasów!

- Jasne, to jest proste jak drut. Prymitywna sprawa.

- Ale nie mamy żadnych narzędzi - powiedział Bob.

- Właśnie że mamy. - Pete wyciągnął ciężki scyzoryk o wielu ostrzach i szybko zabrał się do roboty. Kołki były pokryte zaschniętą warstwą farby olejnej i bardzo sztywne. Peter spocił się, usiłując je podważyć. Bob stał w napięciu tuż obok; bardzo chciał być pomocny.

W końcu ostatni kołek wylądował w dłoni Pete'a. Bob przytrzymał górny zawias, a Pete dolny. Policzyli do trzech i pociągnęli. Drzwi z głośnym hukiem upadły na podłogę.

Obaj chłopcy jednocześnie rzucili się do wyjścia. Kiedy dobiegli do schodów, niespodziewanie usłyszeli na dole odgłos jakichś ciężkich kroków. Ktoś wchodził na górę.

## ROZDZIAŁ 14

### Jupiter ma przeczucie

Jupiter w gorączkowym pośpiechu wynosił stare graty ze stodoły panny Sandow i ładował je na ciężarówkę. Obawy pana Harrisa o bezpieczeństwo Boba i Pete'a zasiały niepokój również w jego sercu. Tak więc mimo przekonania, że przyjaciele sami dadzą sobie radę, na wszelki wypadek chciał jak najszybciej skontaktować się z komendantem Reynoldsem.

Kiedy ciężarówka była już pełna, zajął miejsce w szoferce i skubiąc dolną wargę, zniecierpliwiony przysłuchiwał się rozmowie panny Sandow z wujem Tytusem.

- Nie mam pojęcia, co pan robi z tym antycznym śmietnikiem, którego dzięki panu właśnie się pozbywam - powiedziała właścicielka posiadłości.

- Proszę się nie martwić, łaskawa pani - odparł z galanterią wuj Tytus, podkreślając olbrzymiego węża. - Jestem pewien, że wszystko sprzedam z przyzwoitym zyskiem. A teraz proszę policzyć, ile się pani ode mnie należy.

- Mój Boże, szkoda że nie ma tu Teda. Zupełnie nie wiem, jak się do tego zabrać. Znajomość z pańskimi chłopcami tak uszczęśliwiła mojego wnuka, że czuję, iż powinnam po prostu podarować panu te starocie. Zwłaszcza jeśli chłopcy odnajdą mój mały posążek.

- Jaki posążek? - zdziwił się wuj.

Jupiter wstrzymał oddech, ponieważ wuj nie zawsze popierał jego detektywistyczne zapędy. Tym razem jednak wąsaty raptus tak był uszczęśliwiony nowymi nabytkami, że gładko przełknął informację o nowym zadaniu Trzech Detektywów.

- To prawda, chłopaki mają smykałkę do takich rzeczy. Ale przejdźmy do naszych spraw. Zastanówmy się, droga pani, ile jestem winien.

Jupiter niemal wyrwał sobie pół wargi, czekając niecierpliwie na zakończenie transakcji, ale szczęśliwie wszystko zostało ustalone i ciężarówka ruszyła do Rocky Beach. Konrad jak zwykle pędził na łeb na szyję, więc szybko dotarli do składu złomu. Jupiter nie oglądając się na nic, pobiegł od razu do ukrytej przyczepy. Ciotka Matylda i wuj byli zbyt podnieceni zakupami, by zauważyć jego szybką ucieczkę.

Wczołgał się do Kwatery głównym tunelem i unosząc ruchomą klapę, znalazł się w biurze. Boba i Pete'a nie było. Szybko włączył i przesłuchał sekretarkę, ale nie znalazł żadnej wiadomości. Teraz był już poważnie zaniepokojony. Wczołgał się z powrotem z przyczepy i przez Czerwoną Furtkę Korsarza opuścił skład złomu. Pomny na instrukcje pana Harrisa udał

się prosto na policję.

Posterunek policji w Rocky Beach znajdował się kilka przecznic od składu wuja Tytusa. Jupiter od razu poprosił o spotkanie z komendantem Reynoldsem i dzięki temu, że zarówno on, jak i jego dwaj przyjaciele byli tam dobrze znani, wkrótce siedział za biurkiem na wprost samego szefa policji.

- Czym mogę ci służyć tym razem, pomocniku? - spytał z uśmiechem komendant Reynolds.

Chłopcy otrzymali kiedyś od komendanta honorowe tytuły młodszych pomocników w nagrodę za pomoc w rozwiązaniu jakiejś trudnej sprawy.

- Pracujemy nad nową zagadką i nadeszła pora, by pana o tym powiadomić - powiedział szybko Jupiter.

- W porządku. Słucham uważnie.

- Nie ma czasu na opowieści! Pan Harris...

- Powoli i spokojnie, Jupiterze - pouczył chłopca komendant. - Zacznij od początku.

W ten sposób składa się sprawozdania.

- Tak, proszę pana - zgodził się niechętnie Jupiter. Zaczął szybko i gwałtownie opowiadać o pierwszej nocy, kiedy Bob i Pete znaleźli amulet i widzieli śmiejącego się cień.

- Chwileczkę. - Komendant Reynolds przerwał chaotyczną opowieść. - Mówisz: śmiejący się cień? Bob i Pete nieźle puścili wodze wyobraźni, nie sądzisz?

- Nie, proszę pana. Ostatniej nocy słyszałem jego śmiech na własne uszy i brzmiał naprawdę upiornie. Cień był wysoki, tak jak mówili moi koledzy, ale nie zauważyłem garbu. Jednakże Bob i Pete widzieli go z bliska i dostrzegli również, że miał długi, zakrzywiony nos, przypominający dziób drapieżnika, i małą główkę, która trzęsła się na wszystkie strony. Kiedy wczoraj Pete i ja obserwowaliśmy go, nadjechała ciężarówka z czterema bezgłowymi karłami.

Komendant zakaszłał dyskretnie.

- Z bezgłowymi karłami?

- Wie pan, no nie dosłownie. Chodzi mi o to, że te postaci wyglądały jak bezgłowe karły, ale prawdopodobnie dlatego, że miały worki narzucone na głowy. To byli więźniowie, przetrzymywani w tej myśliwskiej chatce, i ktoś włożył im worki na głowy, żeby nie mogli niczego zobaczyć.

- I uważasz, że to jeden z tych "bezgłowych" więźniów wołał o pomoc i przerzucił przez mur amulet.

- Właśnie tak - odparł Jupiter. - Myślę, że jednemu z uwięzionych udało się na chwilę

wymknąć strażnikom. Wtedy ukradł posążek i włożył do niego kartkę z prośbą o ratunek. Kiedy został ponownie schwytyany, przerzucił figurkę przez mur, z nadzieją, że ktoś ją znajdzie.

- W tajemnym schowku? Raczej mało prawdopodobne.

- Jestem pewien, że działał w rozpaczy. Może spodziewał się w pobliżu jakichś przyjaciół, których jednakże nie było i dlatego my znaleźliśmy amulet. Potem ci dwaj ciemnoskórzy mężczyźni zaatakowali nas, by go zdobyć. Prawdopodobnie zależało im na figurce jako takiej, bo wątpię, żeby wiedzieli cokolwiek o ukrytej wiadomości.

- Jacy ciemnoskórzy mężczyźni? - zapytał komendant z błyskiem w oku.

- Przepraszam, miał pan rację, że należy opowiadać wszystko po kolei. Zapomniałem wspomnieć o tym incydencie.

Jupiter opisał ciemnoskórych zbirów, którzy ścigali chłopców na wzgórzach, a wcześniej napadli na pana Harrisa.

- Ach, to o nich chodzi! - powiedział komendant z wyraźną ulgą. - Teraz łatwiej przyjdzie mi uwierzyć w śmiejący się cień i bezgłowe karły. Sami szukamy tych dwóch po ich ataku na prezesa Stowarzyszenia. Jedźmy zatem niezwłocznie do niego.

Komendant wziął dwóch podwładnych i wraz z Jupiterem pospieszyli do policyjnego samochodu. Pojechali prosto do starego gotyckiego budynku, gdzie miało siedzibę Stowarzyszenie Wegetarian. Kiedy już znaleźli się na opustoszałej uliczce na skraju miasta, Jupiter zauważył zaparkowany przed frontem domu samochód pana Harrisa.

- Jest w swoim biurze - powiedział do komendanta. - Widzę jego wóz.

Pan Harris otworzył frontowe drzwi, zanim zdążyli zapukać.

- Gdzie są Bob i Pete? - spytał na wstępie. - Spodziewałem się, że zastanę ich tutaj.

- Nie wiem - odparł szczerze Jupiter. - Na pewno jednak tu byli. Czy spotkał pan gdzieś Teda?

- Nie. Wydawało mi się, że widzę jego samochód w pobliżu waszego składu, i próbowałem go śledzić, ale jeśli to był on, to uciekł przede mną. Pojechałem więc prosto do domu.

Pan Harris jakby dopiero w tej chwili dostrzegł komendanta Reynoldsa i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

Jupiter pomny na dobre maniery przedstawił sobie obu panów.

- Komendant Reynolds zamierza nam pomóc - dodał, zwracając się do pana Harrisa.

- Doskonale, że pan się zjawił, komendancie - powiedział jak zawsze uprzejmy pan Harris. - Zdaje się, że wpadliśmy w kłopoty. Kiedy intruzi najpierw przerwali mój wykład,

sądziłem, że to manifestacja jakichś typowych przeciwników wegetarianizmu. Po relacjach Jupitera jestem przekonany, że w grę wchodzi coś o wiele ważniejszego niż czyjeś uprzedzenia.

- Ma pan na myśli śmiejący się cień i bezgłowych więźniów? - spytał komendant Reynolds.

- Prawdopodobnie chłopcy są nieco przewrażliwieni i trochę przesadzają. Z tego, co wiem, nawet nie mogli ustalić, co im przypomina ten dziwny śmiech. Ale wygląda jednak na to, że ktoś knuje jakiś spisek, w którym dużą rolę odgrywają posążki panny Sandow.

Komendant Reynolds zamyślił się.

- Być może miejscowa legenda o Skarbie Chumashów ciągle jest żywa. Słyszałem, że wiele ludzi gotowych jest sporo zaryzykować, by go odnaleźć.

- "Sporo" to zbyt łagodne określenie - powiedział pan Harris ponurym tonem. - Ale teraz nie obchodzi mnie żaden skarb. Martwię się o Boba i Pete'a. Według Jupitera powinni tu być.

- Proponuję, żebyśmy rozejrzeli się dokoła - powiedział komendant. - Może znajdziemy jakieś ślady, świadczące o tym, że chłopcy jednak tu byli przed pana powrotem.

Podzielili się zadaniami. Pan Harris i Jupiter przeszukali parter, a komendant i jego podwładni piętra. Kiedy znowu spotkali się przed budynkiem, okazało się, że nikt nie trafił na żaden ślad bytności chłopców. Jupiter naprawdę był zatrwożony.

- Musieli gdzieś tu być! - oświadczył stanowczo.

- A jeśli zauważyli ciemnoskórych i poszli w ślad za nimi? Co o tym sądzisz? - spytał pan Harris.

- To do nich podobne - zgodził się komendant.

- Zawiadomiliby nas o tym - powiedział Jupiter.

- Przecież nie od razu - zaproponował pan Harris.

- Zgadza się. Może dotąd nie mieli jak tego zrobić - uspokoił Jupitera komendant. - Jednak pomysł śledzenia przez chłopców dwóch niebezpiecznych przestępców zupełnie mi się nie podoba.

Jupiter nie był do końca przekonany, że właśnie tak się sprawy miały, ale musiał przyznać, że jeśli przyjaciele dostrzegli dwóch poszukiwanych ciemnoskórych mężczyzn, udali się w trop za nimi, by znaleźć ich kryjówkę. Sam postąpiłby dokładnie tak samo.

- Pora zacząć szukać chłopców - uznał komendant Reynolds.

- Natychmiast - poparł go pan Harris. - Zanim pan jednak odjedzie, komendancie, chciałbym przekazać panu drugi amulet. Wolałbym dłużej go tu nie trzymać.

Poszli do biura prezesa. Wegetarianin podszedł do sejfu, otworzył go i wyjął niewielkie pudełeczko. Przeniósł je na biurko, zaśmiecone resztkami pospiesznie spożytego posiłku.

- Przepraszam za ten bałagan, zrobiłem sobie małą przekąskę - tłumaczył się pan Harris, zgarniając śmieci do kosza. Otworzył pudełeczko. - Oto i powód całego zamieszania.

Wszyscy stłoczyli się wokół biurka i przyglądali się drugiemu uśmiechniętemu człowieczkowi ze złota. Komendant bardzo dokładnie obejrzał figurkę, zastanawiając się, jakie jest naprawdę jej znaczenie, a potem przekazał ją Jupiterowi. Chłopiec otworzył tajemną skrytkę, która okazała się pusta.

- Żadnej wiadomości tu nie ma - oznajmił.

- Wygląda na to, że zbirom chodzi wyłącznie o amulet jako taki - skomentował pan Harris. - Poczuję się znacznie pewniej, gdy ten przedmiot znajdzie się już w rękach policji. Będzie tam bezpieczny, a my skupimy się na szukaniu niegodziwców i zdemaskowaniu tego, co knują.

- Może Bob i Pete nam powiedzą, gdzie ich znaleźć - stwierdził komendant. - Oczywiście, jeśli najpierw ich znajdziemy. Chodź, Jupiterze, pora zacząć poszukiwania.

- Proszę mnie niezwłocznie zawiadomić, jeśli dowiedzie się czegoś o losie chłopców - poprosił pan Harris. - Jutro zamierzam przepytac młodego Sandowa. - Głos wegetarianina brzmiał surowo. - Mam nadzieję, że zdoła mi wyjaśnić kilka wątpliwości.

Wyszli na ulicę i komendant wraz z podwładnymi pospieszyli do samochodu. Jupiter ociągał się nieco, omiatając bystrym spojrzeniem najbliższe sąsiedztwo gotyckiego domu. Przyjrzał się uważnie małej alejce po drugiej stronie ulicy.

- Panie komendancie! - zawołał nagle. - Zauważyłem ślady opon!

Puścił się pędem ku alejce, komendant wkrótce go dogonił.

- Byli tu, panie komendancie! - wołał podniecony Jupiter. - Poznaję odcisk opony roweru Boba. Musieli skryć się w tej alejce, obserwując siedzibę Stowarzyszenia. Proszę, niech pan spojrzy tu na ziemię.

W miejscu gdzie Pete tkwił skulony w oczekiwaniu, znajdowała się kupka kamieni usypanych w kształcie stożka.

- Pete zawsze odruchowo układa w ten sposób kamienie - wyjaśnił Jupiter.

- Czyli musieli kogoś zobaczyć i pojechali za nim. Ich rowerów tu nie ma.

Jupiter ponownie rozejrzał się wokół.

- Mam wątpliwości, proszę pana. Gdyby postąpili w ten sposób, zostawiliby jakąś informację. Zawsze nosimy przy sobie kawałki kolorowej kredy, by móc rysować znaki.



- Pewnie nie mieli na to czasu. Porozysłałam natychmiast szczegółowe komunikaty do wszystkich posterunków policji. Sądzę, że jeszcze nie ma potrzeby niepokoić rodziców chłopców.

- Ma pan rację - zgodził się Jupiter. - Być może są już nawet z powrotem w składzie złomu.

- Mam nadzieję, synu - powiedział komendant Reynolds. - Szkoda, że mamy tak mało danych, by posuwać śledztwo naprzód. Jestem pewien, że w końcu znajdziemy ciemnoskórych mężczyzn, ale żałuję, że nie mam pomysłu, kim mógłby być śmiejący się cień.

- Wiemy, że jest wysoki. Dwaj poszukiwani ciemnoskórzy są raczej niskiego wzrostu, za to Ted Sadow jest postawnym młodzieńcem.

- Ale wy przecież znacie jego głos, prawda? Wiedzielibyście, że to on jest cieniem.

- Teoretycznie powinniśmy - Jupiter zamyślił się głęboko. - Ale ten śmiech nie przypomina żadnego znanego mi głosu.

- Z twojego opisu wynikało, że w ogóle nie brzmiał jak głos.

- Trafił pan w sedno! - zawołał Jupiter. - W ogóle nie brzmiał jak głos. W każdym razie ludzki głos. Przypomniało mi się opowiadanie Edgara Allana Poe'go, w którym nikt nie rozumiał języka, jakim posługiwał się morderca, bo okazało się, że była nim małpa. Ale tu nie mamy do czynienia z małpą. Chodzi mi natomiast po głowie, że... chyba w Australii... jest coś, co śmieje się jak...

- O czym ty mówisz, Jupiterze?

Jupiter nerwowo skubał wargę.

- Nie pamiętam dokładnie, ale wiem, że ma to coś wspólnego z jakimś zwierzęciem z Australii. Ted Sadow mówi z obcym akcentem. Twierdzi, że pochodzi z Anglii, ale może podszywa się pod Anglika. Równie dobrze mógł przybyć z Australii.

- Skoro już mówimy o obcym akcencie, to pan Harris też mówi jak cudzoziemiec. Sądziłem, że to jakiś Angol.

- Panie komendancie! - W oczach Jupitera zabłyśły iskierki. - A może on jest Australijczykiem? Jego akcent w ogóle nie przypominał mi brytyjskiego. Początkowo myślałem, że mówi londyńskim cockneyem, ale to też nie to.

- Nie wiem, ale spróbuję wszystko ustalić. Skontaktuję się z władzami w Australii i postaram się czegoś dowiedzieć o obu panach. Opiszę ich bardzo dokładnie.

Wrócili na komendę policji, gdzie Reynolds niezwłocznie przystąpił do pracy. Wysłał szczegółowe komunikaty na temat Boba i Pete'a, żeby policjanci w Rocky Beach i całym

hrabstwie rozglądali się za dwoma chłopcami. Zamówił też rozmowę z Australią.

Jupiter pobiegł niezwłocznie do składu złomu, ale w Kwaterze Głównej nikogo nie zastał. Był już poważnie zaniepokojony. Usiadł w biurze i wpatrywał się w milczący telefon. A jeśli Boba i Pete'a uwięziono? Policja może nie zdążyć odnaleźć ich na czas. Detektyw uznał, że nie będzie siedział z założonymi rękami. Jeśli wróci do siedziby pana Harrisa, ma szansę znaleźć jakiś ślad, który wcześniej umknął jego uwagi.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do wypożyczalni samochodów “Wynajmij auto i w drogę!” Jeśli trafi na jakiś ślad Boba i Pete'a, może być mu potrzebny szybki środek transportu.

## ROZDZIAŁ 15

### Lajdak zostaje zdemaskowany

Kwadrans później Jupiter wysliznął się przez Zieloną Furtkę i pobiegł do czekającego nań rolls-royce'a.

- Worthington, poproszę szybko do Stowarzyszenia Wegetarian - powiedział pośpiesznie do kierowcy i podał dokładny adres.

- W tej chwili, panie Jones.

Wspaniały wehikuł z połączanymi ozdobami sunął gładko ulicami Rocky Beach, po czym skręcił w Las Palmas i skierował się w stronę gotyckiej siedziby Stowarzyszenia Wegetarian. Jupiter bacznie przyglądał się ulicy, gorąco pragnąc wypatrzeć jakiś sygnał od swych przyjaciół.

O przecnicę od lokalu Stowarzyszenia minął ich rozpędzony samochód z panem Harrisem w środku. Jupiter zaczął krzyczeć do prezesa, ale ten nawet nie rzucił okiem na rolls-royce'a. Pochylny nad kierownicą, z pochmurną i zamysloną twarzą pomknął naprzód, zostawiając za sobą tumany pyłu.

- Czy zna pan tego dżentelmena, panie Jones? - spytał Worthington. - Może powinienem go dogonić i zatrzymać?

- Pan Harris miał czekać w biurze na wiadomości o Bobie i Pecie - odparł Jupiter, oglądając się za znikającym pojazdem. - Być może wydarzyło się coś, co spowodowało zmianę jego planów. Jedźmy prosto do siedziby Stowarzyszenia.

Po chwili wielki samochód zatrzymał się przed gotyckim budynkiem. Jupiter wystrzelił z auta jak z procy i pobiegł prosto do frontowych drzwi. Worthington wysiadł spokojnie i ruszył za nim. Drzwi okazały się otwarte. Pierwszy Detektyw wbiegł do środka i stanął, nasłuchując.

- Czy pan coś słyszy, Worthington?

- Nie, panie Jones. Czego właściwie szukamy?

- Boba i Pete'a - odparł Jupiter. - Jakichś znaków, prawdopodobnie narysowanych kredą, które mogli zostawić, lub jakiegokolwiek śladu wskazującego na to, że tu byli.

- Sądzi pan, że mają kłopoty?

- Nie wiem - przyznał Jupiter. - Komendant uważa, że działają na własną rękę, i być może ma rację, ale jestem pewien, że w takim wypadku zostawiliby jakiś znak.

- Też tak sądzę - odparł spokojnie Worthington.

- Komendant Reynolds i jego podwładni przeszukali górne kondygnacje, ale mogli przeoczyć ślady kredy. Proszę iść na górę i rozejrzeć się, a ja zrobię to samo na ulicy.

- Dobrze, panie Jones.

Jupiter przemierzył ulicę wzdłuż i wszerz, sprawdzając każdy fragment ściany i ogrodzenia, czy nie ma na nich znaków narysowanych kredą. Patrzył również pod nogi, szukając jakichś wydrapanych na ziemi informacji, i obejrzał pnie drzew. Poza małą kupką kamieni, którą dostrzegł już poprzednim razem, niczego nie znalazł. Wrócił do domu, gdzie Worthington schodził właśnie z piętra. Kierowca pokręcił głową.

- Nic, co mógłbym uznać za znak, panie Jones.

Jupiter zasepił się.

- Może komendant i pan Harris mają rację. Chyba lepiej wrócę do składu i zaczekam na chłopców. Zastanawiam się, dlaczego pan Harris jechał tak szybko?

- Pewnie komendant Reynolds wezwał go do siebie - podsunął Worthington. - Jeśli mogę coś podpowiedzieć, to nie sprawdziliśmy jeszcze parteru.

- Zrobiłem to za pierwszym razem, kiedy tu byłem - odparł ponuro Jupiter.

- Mógł pan przeoczyć jakiś drobiazg. Nie zaszkodzi rozejrzeć się ponownie.

Weszli do biura pana Harrisa. Jupiter nie zauważył żadnych znaków na ścianach, a Worthington nie znalazł niczego na podłodze ani w szafie. Jupiter spojrział na biurko i na kosz do śmieci. Już zamierzał od nich odejść, kiedy nagle zatrzymał się i zajrzał ponownie do kosza.

- Worthington! - krzyknął. - Proszę spojrzeć na to!

Kierowca podszedł szybko do chłopca i wyjął z jego dłoni kawałek pergaminu. Zamrugał oczami ze zdziwienia.

- To zwykły papier śniadaniowy, panie Jones. Nie widzę na nim żadnego znaku.

- Niech pan popatrzy na te plamy! Brunatną i czerwonawą. Widzi pan? - Jupiter wskazał palcem wspomniane miejsca.

- Tak, widzę - przytaknął Worthington. - Powiedziałbym, że to musztarda i trochę krwi. Widzę też przyschnięty kawałeczek wołowiny. Zwykła rzecz na papierze śniadaniowym. - Ostrożnie dotknął brązowej plamy i pociągnął nosem. - Z całą pewnością musztarda. W dodatku raczej ostra.

- Panie Worthington, pan Harris jest prezesem Stowarzyszenia Wegetarian! - zawołał Jupiter. - Nie rozumie pan? Jeśli wcinał kanapkę z mięsem i musztardą, musi być oszustem!

- Na Boga, jest pan pewien, że to papier po kanapce, którą zjadł pan Harris?

- Sam to powiedział - odparł Jupiter. - I jeśli on udaje wegetarianina, to całe

Stowarzyszenie jest oszustwem. Pan Harris skupił wokół siebie grupę zwolenników wegetarianizmu w Rocky Beach i twierdził, że prowadzi wielką organizację gdzieś tam jeszcze. Założę się, że to wierutne kłamstwo.

- Poważne oskarżenie, panie Jones - powiedział Worthington. - W jakim celu miałby kłamać?

- Przecież to jasne - odparł Jupiter. - Harris dowiedział się w Anglii od Teda, że panna Sandow jest wegetarianką. Założę się, że ich spotkanie nie było przypadkowe. Pan Harris musiał wcześniej poznać historię Skarbu i chciał go odnaleźć. Wykorzystał Teda i swoje fałszywe Stowarzyszenie, żeby zbliżyć się do panny Sandow. Dzięki temu miał wolny wstęp do jej posiadłości.

- Pana zdaniem wiedział o Skarbie, zanim tu przyjechał i zanim spotkał młodego Sandowa?

- Wcale bym się nie zdziwił. Prawdopodobnie celowo chciał skierować nasze podejrzenia ku Tedowi. I pomyśleć, że sam dostarczyłem mu tylu informacji - jęknął Jupiter. - Praktycznie go ostrzegłem.

- Zrobił pan to nieświadomie, panie Jones - powiedział Worthington. - Wszystkich udało mu się okpić.

- O tak. Kto wie, może on sam jest śmiejącym się cieniem. Może więzi tych czterech biedaków... - Nagle Jupiter spojrzał na Worthingtona przerażonym wzrokiem. - Musimy natychmiast jechać do komendanta.

- Oczywiście, panie Jones. Wymyślił pan jakiś chytry sposób, by pomieszać szyki fałszywego wegetarianina?

- Nie, ale nagle zrozumiałem, że Harris nas przechytrył. Po opuszczeniu posiadłości panny Sandow bardzo późno dotarł do swego biura, ale tłumaczył to tym, że wydawało mu się, iż widział Teda koło składu złomu i próbował go śledzić. Kłamał jak z nut. Był w siedzibie Stowarzyszenia długo przed moim pojawieniem się tam z panem komendantem - i to on musiał schwytać Boba i Pete'a!

## ROZDZIAŁ 16

### Ciemnoskórzy mężczyźni znowu się pojawiają

Pan Harris przysiadł na prostym drewnianym stole stojącym pośrodku izby o nie malowanych ścianach i w zamyśleniu spoglądał na Boba i Pete'a.

- Uwierzcie, chłopcy, naprawdę jest mi przykro - powiedział.

Bob i Pete milczeli. Siedzieli związani naprzeciwko ściany z surowych desek, nie mając pojęcia, gdzie się znajdują. Zostali pojmani przez pana Harrisa w siedzibie Stowarzyszenia Wegetarian i wiedzieli tylko, że zawieziono ich do jakiejś małej górskiej chaty.

Teraz już byli pewni, że pan Harris ma powiązania ze śmiejącym się cieniem. Nic jednak nie mogli zrobić ani nikogo powiadomić o swym odkryciu. Prezes i jego dwóch pomocników pojмали Boba i Pete'a w korytarzu siedziby Stowarzyszenia, wepchnęli do ciężarówki i związali. Potem ci pomocnicy wywieźli chłopców wraz z ich rowerami nie wiadomo dokąd. Pan Harris widocznie został jeszcze na jakiś czas w biurze, bo dopiero teraz zjawił się w chacie.

Patrzył na detektywów ze smutnym uśmiechem.

- Tak się pechowo składa, chłopcy, że macie zwyczaj pojawiać się tam, gdzie nikt was nie chce. Na przykład jako szpicle w moim biurze. Jestem pewien, że niczego nie znaleźliście, ale lepiej zachować ostrożność, prawda? Na szczęście miałem dość czasu, by pozbyć się śladów waszej obecności przed przybyciem policji.

Obawiam się, że przez jakiś czas muszę was tu gościć. Powiedzmy do chwili, gdy będę już daleko stąd. Szczęśliwie kończę swoje zadanie na tym terenie.

- Pan jest złodziejem! - wybuchnął Bob po raz pierwszy. Już dłużej nie potrafił ukrywać tego, co myśli.

- I zamierza ukraść Skarb Chumashów! - dodał Pete.

Pan Harris zaśmiał się w głos.

- Sprytni z was chłopcy. Właśnie o ten Skarb mi chodzi i zdobędę go dzisiejszej nocy.

Wyszczrzył zęby w promiennym uśmiechu, zsunął się ze stołu i wyszedł z chaty. Bob i Pete popatrzyli na siebie bezradnie w milczeniu. Przez jedno z brudnych okienek widzieli, że słońce stoi już nisko. Wkrótce nadejdzie noc, a oni nie zdołają udaremnić niecných zamiarów pana Harrisa.

- Jesteśmy gdzieś na terenie posiadłości Sandowów - stwierdził Pete, który miał

niezawodny dar orientacji w terenie. - Kiedy ciężarówka się zatrzymała, rozpoznałem kilka górskich wierzchołków.

- Szkoda, że nie zostawiliśmy w Stowarzyszeniu jakiegoś znaku - dodał Bob. - Ale nie mieliśmy szans, gdyż wepchnęli nas do ciężarówki jak cielęta na rzeź.

- Jupiter nas odnajdzie. Gdybyśmy jednak zdołali pierwsi się oswobodzić, moglibyśmy wysłać jakiś sygnał. - Pete zaczął szarpać więzy, którymi miał skrupowane z tyłu ręce.

Usłyszeli głośny rechot. Pan Harris znów pojawił się w chacie.

- Dzielne chłopaki, nie ma co. Szczerze podziwiam wasz upór.

- Nie wymknie się pan stąd ze Skarbem! - wykrzyknął Pete.

- Kochani chłopcy, cała policja i wasz drogi przyjaciel Jupiter przetrząsają wszystkie kąty w poszukiwaniu ciemnoskórych mężczyzn, których podejrzewając porwanie was. Nie mógłbym marzyć o szczęśliwszym zbiegu okoliczności.

- Nie wykiwa pan Jupitera, mowy nie ma - oświadczył Bob. - Wkrótce wyląduje pan w więzieniu.

- Nie sądzę - odparł pan Harris z pełnym przekonaniem. - Opracowałem wszystko zbyt dokładnie, by przeszkodzili mi teraz małomiasteczkowi gliniarze i trójka smarkaczy. Miałem jednak przez was trochę kłopotów i czułbym się bezpieczniej, gdybym zdołał was przekonać, byście zostali moimi współnikami.

- Nigdy nie zostaniemy współnikami złodzieja! - oświadczył z niezłomnym przekonaniem Pete.

- Zuchwała postawa, ale niemądra. Powinniście teraz dogadać się ze mną, a wystąpić przeciwko mnie potem, kiedy bym już was uwolnił. Na szczęście ludzie są tacy głupi. W przeciwnym razie Skarb Chumashów byłby odnaleziony już dawno temu.

- Nie wierzę, że pan go naprawdę odnalazł - powiedział Bob.

- Mylisz się, mój chłopcze. Rozwiązałem malutką zagadkę Magnusa Verde i za kilka godzin Skarb będzie mój - oświadczył pan Harris i oczami wąskimi jak szparki popatrzył na chłopców. - Potem przyjdę, by się wami zająć.

Odwrócił się i pomaszerował do drzwi. Już dotykając klamki, zatrzymał się i spojrzał przez ramię.

- Tak przy okazji, nie próbujcie sami się uwalniać. Chata stoi na skraju trzystu metrowego urwiska, na które można wspiąć się jedynie wąską szczyrbą. Strażnik pilnuje tej drogi i jednocześnie obserwuje drzwi. Jak sami widzicie, stąd nie ma możliwości ucieczki.

Uśmiechając się ironicznie, pan Harris opuścił chatę. Tym razem chłopcy usłyszeli

szczęk zamka. Zostali sami, zamknięci w środku. Pete natychmiast podjął kolejną próbę pozbycia się więzów.

- Bob, spróbujmy pomóc sobie nawzajem - zaproponował. - Czy mógłbyś się przetoczyć, byśmy usiedli plecami do siebie?

Kiedy po długich wysiłkach ich plecy stykały się ze sobą, Pete zaczął szamotać się z węzłami na przegubach Boba. Zaciskał zęby, pot spływał mu po twarzy. Wydawało mu się, że męczy się tak już godzinami, wreszcie padł wykończony.

- Po prostu nie mam jak tego schwycić - powiedział zrozpaczony.

- Bo masz związane ręce - odparł Bob.

Pete rozważał, co by tu zrobić.

- Gdyby pan Harris nie odebrał mi noża, wziąłbym go w zęby i...

- Pete! Możemy spróbować oswobodzić się za pomocą zębów.

- Warto się przekonać, co to da. Położę się na boku.

Bob cał po calu zbliżał usta do nadgarstków przyjaciela. Chwycił zębami pierwszy węzeł i próbował go przegryźć, a Pete nieustannie kręcił dłońmi. Trzy razy musieli przerywać pracę, by odpocząć. Bob spróbował znowu.

- Czuję, że puszczają! - krzyknął Pete. - Spróbuj teraz rękami. Znowu usiedli plecami do siebie i Bob zaczął mocować się z linką krępującą Pete'a. Nagle puścił pierwszy węzeł. Z drugim poszło już łatwiej i po chwili Pete miał wolne ręce. Szybko rozwiązał sznurek omotujący jego nogi i uwolnił Boba.

Natychmiast ocenili sytuację. Pete podszedł do frontowych okien, podczas gdy Bob sprawdził okienko na tylnej ścianie chaty.

- Moje są zabite gwoździami - oznajmił Pete - i widzę strażnika. Nie wydostaniemy się stąd nie zauważeni, nawet nocą. Stróż ma mocną latarkę.

Słońce schowało się już za najwyższym ze szczytów i cały krajobraz przybrał kolor ciemnej purpury. Jeszcze chwila i góry pogrążą się w całkowitych ciemnościach.

- Metr lub dwa występu i dalej skała. - W głosie Boba słychać było strach. - Ucieczka stąd to beznadziejna sprawa.

Dwaj detektywi wrócili do stołu.

- Przynajmniej wiem, gdzie jesteśmy - powiedział Pete. - Widzę przełęcz po zachodniej stronie. Jesteśmy w wysokich górach, około dziesięciu kilometrów od rezydencji.

- Gdybyśmy wysłali sygnał, może ktoś by go tam zauważył - zaproponował Bob. - Jeśli Jupiter nas szuka, z pewnością poszedł do domu panny Sandow.

- Potrzebne nam jakieś światło - uznał Pete.



Zaczęli przeszukiwać chatę. Wydawało się, że nic nie zwojują: w izbie stało niewiele mebli, a pan Harris był zbyt sprytny, by zostawić cokolwiek, co mogłoby pomóc w ucieczce więźniom. Ale jak wielu nazbyt pewnych siebie oszustów, przeoczył rzecz oczywistą. Bob wydał tryumfalny okrzyk, zgarniając śmiecie z wieka starej dębowej skrzyni i unosząc je.

- Mamy lampę naftową - zawołał, wyciągając starą zakurzoną lampę. - W dodatku z odrobiną nafty. Możemy nadać sygnały alfabetem Morse'a, zasłaniając i odsłaniając światło lampy.

- Jeśli zdołamy ją rozpalić. - Pete zasepił się. - Nie mamy zapalek.

W szalonym tempie znowu przeszukali izbę. Znaleźli stare pudełko zapalek wciśnięte w szufladę stołu. Bob schwycił zapalkę i szybko zapalił lampę, podczas gdy Pete wziął kawałek płaskiej blachy i nadawał sygnały. Chłopcy ruszyli do tylnego okienka.

Zatrzymali się w pół kroku i zamarli ze zdziwienia. Przez szybę wpatrywał się w nich mężczyzna o ciemnej karnacji. Pchnął okienko i wskoczył do środka, a za nim ciemnoskóry kompan, ubrany jak i on w biały strój. Obaj stanęli obok parapetu, wpatrując się w chłopców, a w ich dłoniach lśniły gołe ostrza długich noży.

## ROZDZIAŁ 17

### Ślepa uliczka

Komendant Reynolds siedział przy biurku, kiedy Jupiter i Worthington jak burza wpadli do jego gabinetu. Jupiter wymachiwał poplamionym papierem śniadaniowym, stanowiącym dowód rzeczowy przeciwko panu Harrisowi.

- Pan Harris jest oszustem! - wykrzykiwał Pierwszy Detektyw. - Zamierza ukraść Skarb Chumashów! Widzieliśmy, jak pędził samochodem ze swojej siedziby. Sądzę, że spieszył do posiadłości Sandowów, i z pewnością byli z nim Bob i Pete.

- Spokojnie, Jupiterze. Pozwól mi zerknąć, co tu przyniosłeś. - Komendant uważnie obejrzał plamy na papierze. - A więc nawet nie jest wegetarianinem. Całe to Stowarzyszenie to też oszustwo. No tak, to by się zgadzało.

- Co by się zgadzało? - Jupiter z otwartymi ustami gapił się na komendanta.

- To, co powiedziałeś, z tym, co zdołałem ustalić. - Oczy komendanta Reynoldsa zabłyśły lekkim rozbawieniem. - Nie jesteście, chłopcy, jedynymi detektywami w Rocky Beach. Rozmawiałem z policją w Australii. Nic nie wiedzieli o Tedzie Sandowie, natomiast Albert Harris jest osobnikiem doskonale im znanym. Przeczucie cię nie myliło.

- Czego się pan dowiedział?

Komendant wstał zza biurka.

- Porozmawiamy w drodze. Nie ma czasu do stracenia. Dotąd nie udało nam się wpaść na trop ciemnoskórych mężczyzn, ale czuję, że kiedy znajdziemy Harrisa, to i oni się odnajdą. Dzwoniłem już do pana Andrews'a i umówiłem się, że zabierzemy go po drodze. Tata Pete'a, niestety, wyjechał.

- Dokąd jedziemy, panie komendancie? - chciał wiedzieć Jupiter.

- Oczywiście do Sandowów. Jestem pewien, że tu też masz rację. Na terenie posiadłości znajdziemy poszukiwanych łajdaków.

- Proponuję, żebyśmy wzięli rolls-royce'a - powiedział Jupiter. - Pan Harris nie wie, że korzystamy z tego auta, a na widok policyjnego wozu może próbować ucieczki.

- Świetny pomysł - pochwalił chłopca komendant. - Powiem moim ludziom, żeby jechali za nami.

Komendant Reynolds polecił czterem podwładnym wziąć samochód policyjny i jechać za rolls-royce'em, zachowując odpowiednio dużą odległość. Worthington podwiózł następnie komendanta i Jupitera pod dom, gdzie mieszkał Bob. Jego ojciec wybiegł szybko i

wsiadł do limuzyny.

- Co tu się dzieje? - spytał zaniepokojony. - Czy wie pan już, gdzie są chłopcy, komendancie?

- Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu - odparł komendant Reynolds.

- Jak do tego doszło? - dopytywał się pan Andrews.

Komendant szybko streścił wszystko, co przydarzyło się Trzem Detektywom.

- Wykonali dobrą robotę, panie Andrews. Powinien pan być z nich dumny. Gdyby nie oni, panna Sandow i jej bratanek mieliby poważne kłopoty, a my żylibyśmy w nieświadomości tego, co się dzieje, aż byłoby za późno na przeciwdziałanie złu. Chłopcy działali prawidłowo i ostrożnie. Skąd mogli wiedzieć, że Harris to oszust? Wszystkich wyprowadził w pole.

- Kimże on jest, ten Harris? - spytał zaniepokojony tata Boba.

Zapadał zmrok. Worthington wioził swych pasażerów krętą drogą w kierunku przełęczy.

- Złodziejem i oszustem, co udowodnili już nasi młodzi detektywi - odpowiedział komendant Reynolds. - Właśnie rozmawiałem z policją w Sydney. Harris jest tam poszukiwany jako przestępca. Ma na swym koncie notoryczne oszustwa, włamania, szantaże i wiele innych przewinień. Często podszywa się pod prezesa jakiejś wymyślonej organizacji, by ograbić niewinnych ludzi. Jest poszukiwany nawet w Meksyku, gdzie uruchomił oszukańczy program pomocy biednym Indianom.

- Wspomniał pan o Meksyku. Czy Harris był tam ostatnio? - spytał Jupiter.

- Nie raz, a ostatnia wizyta miała miejsce jakiś rok temu. Według Australijczyków niecały rok temu odwiedził na krótko również Kalifornię.

- Wtedy pewnie dowiedział się o Skarbie Chumashów i panie Sandow - uznał Jupiter.

- Sądzę, że w jednej z miejscowych gazet przeczytał informację o śmierci jej bratanka - wyjaśnił komendant. - Dzięki temu odnalazł w Anglii Teda Sandowa.

Worthington, prowadzący rolls-royce'a szybko lecz pewnie, dowiózł już swych pasażerów do przełęczy i teraz gnali w ciemnościach ku bramie, zamykającej drogę do posiadłości Sandowów. Potężna luksusowa maszyna znacznie wyprzedziła wóz policyjny.

Żelazna brama była otwarta. Worthington przemknął przez nią prawie nie zwalniając. Zatrzymali się dopiero przed frontowymi drzwiami wielkiego domu w hiszpańskim stylu. Pasażerowie wysypali się szybko z samochodu, a komendant gestem ręki nakazał zachować ciszę. Dom był nie oświetlony i nie widać było w nim żadnych znaków życia.

- Wygląda na opuszczony - stwierdził z rozczarowaniem komendant Reynolds.  
- Mogli zostawić jakieś wskazówki, informację, dokąd poszli - powiedział Jupiter.  
- Zajrzyjmy tam chociaż - naciskał pan Andrews. - Bob i Pete mogą być zamknięci gdzieś wewnątrz.

Komendant zgodził się i dał znak podwładnym w policyjnym samochodzie, który właśnie nadjechał i zatrzymał się cicho w pewnej odległości od domu. Policjanci obstawili dom, a komendant poprowadził pana Andrews, Jupitera i Worthingtona do środka.

Przeszukali uważnie wszystkie pokoje na parterze, ale niczego nie znaleźli. Jupiter przygryzał wargę ze zmartwienia. Czyżby zjawili się zbyt późno? Pan Harris porwał wszystkich, by trzymać ich jako zakładników, zanim bezpiecznie odjedzie wraz ze Skarbem?

- Panowie, chyba coś słyszę - odezwał się nagle spokojnym głosem Worthington.

Wszyscy zaczęli nasłuchiwać w ciemnościach. Ich uszu dobiegło jakieś głucho dudnienie.

- To na górze, gdzieś z tyłu domu - powiedział komendant. Trzymając pistolet w dłoni ruszył na pierwsze piętro, a pozostali ostrożnie weszli za nim na schody i korytarzem posuwali się w kierunku, skąd dochodziło dudnienie.

- Tutaj. - Pan Andrews wskazał na drzwi po lewej stronie.

Były zamknięte. Komendant polecił towarzystwu stanąć z tyłu, a sam całym ciężarem rzucił się na drzwi. Zadrżały, ale nie zdołał ich wyważyć. Spróbował ponownie i tym razem skutecznie. Z pistoletem gotowym do strzału wpadł do pokoju.

- Tam! - krzyknął pan Andrews.

W rogu ciemnego pokoju leżał jakiś kształt przypominający egipską mumię. Mumia waliła nogami w ścianę. Okazało się, że jest to skrupowany więziem i zakneblowany Ted Sandow.

- Tam jest ciocia Sara - zawołał, kiedy go oswobodzili.

Wątpiąca starsza pani była mocno przywiązana do krzesła, w ustach miała knebel. Worthington uwolnił ją. Rozszerzonymi ze zdumienia oczami patrzyła na zgromadzonych.

- Co... co się stało? - pytała oszołomiona. - Pamiętam, że pan Harris przyniósł mi, jak zwykle, filiżankę popołudniowej herbatki, a potem jakby film mi się urwał. Następna rzecz, którą kojarzę, to przebudzenie się na tym krześle. Mój Boże, nigdy się tak nie bałam! I ten biedny Teodor na podłodze!

Zdenerwowana podbiegła do ciotecznego wnuka i zaczęła trząść się nad nim jak kura nad pisklęciem. Ted uśmiechnął się do ciotki, po czym odezwał się do Jupitera:

- W jakiś czas po naszym rozstaniu w bibliotece wróciłem tam, by stwierdzić, że obaj,

ty i pan Harris, już wyszliście. Pan Harris nie zjawiał się, aż dopiero późnym popołudniem. Powiedział, że ma jakiś ważny dowód związany z amuletem i że pokaże mi go na górze. Oczywiście poszedłem z nim, a on nagle uderzył mnie czymś w głowę. Kiedy odzyskałem świadomość, byłem związany jak mumia. Od tego czasu tu jestem.

- Wszystko jasne! - Jupiter nareszcie zrozumiał całą intrygę. - Kiedy wróciłem z panem Harrisem z leśnej chatki, powiedział mi, że dokądś wyjechałeś, bo chciał zasiać we mnie podejrzenia. A ty wcale się stąd nie ruszałeś.

- To także dało mu szansę dotrzeć do biura odpowiednio wcześniej, by uprowadzić Boba i Pete'a. Wiedział od Jupitera, że zastanie tam chłopców.

- Proszę mi o tym nie przypominać - jęknął Pierwszy Detektyw. - Powiedziałem mu wszystko jak na spowiedzi i dzięki temu miał nas z głowy.

- Dzisiejszej nocy szykuje się, by wykraść Skarb - stwierdził Ted. - Czuję się za to w pełni odpowiedzialny. Zdobył moje zaufanie, by dostać się tutaj. Rzucane na was podejrzenia o kradzież amuletu, pomysł z nagrodą i tak dalej, to jego sprawka. On wymyślił, że najłatwiej poznam was, oferując do sprzedaży starocie. Byłem marionetką w jego rękach.

- Nie oskarżaj siebie, Teodorze - pocieszała ciotecznego wnuka panna Sara. - Też dałam się w to wciągnąć. Nawet wyłożyłam pieniądze na Stowarzyszenie. Miał wiarygodne listy polecające od innych wegetarian, których znałam.

- Jestem pewien, że były sfalszowane - powiedział komendant. - Cwany oszust.

- Musimy go znaleźć - przypomniał Jupiter. - Ted, czy on mówił ci coś o tych ciemnoskórych mężczyznach czy bezgłowych karłach?

- Do licha, nie pamiętam.

Jupiter zmarszczył czoło.

- Jestem przekonany, że ci przypominający bezgłowe karły więźniowie są kluczem do całej zagadki. Jeden z nich najprawdopodobniej ukraść amulet i przerzucił przez mur wraz z ukrytą w nim wiadomością. Co oznacza, że więźniowie są Indianami z plemienia Yaquali. Ale dlaczego pan Harris ich więzi?

- Czemu ciągle gadamy o amulecie i karłach? - wybuchnął pan Andrews. - Musimy teraz myśleć o Bobie i Pecie.

- Nie zdołamy ich znaleźć, jeśli nie trafimy na Harrisa - odparł komendant Reynolds.

Dorośli popatrzyli na siebie bezradnie. Jupiter skubał wargę. Nagle zwrócił się do panny Sandow.

- Proszę mi powiedzieć, czy pani brat kiedykolwiek wspominał o Skarbie Chumashów?

- Nie. Biedny Mark, był taki młody, kiedy musiał ratować się ucieczką.

- Co mówił pani o tych dwóch amuletach?

- Nic, Jupiterze. Wręczył mi je tuż przed ucieczką i powiedział, że są bezużyteczne.

Dodał jeszcze, że zabił swoją kurę. Zastanawiałam się zawsze, co miał na myśli.

- Pewnie to, że zabił kurę, mogącą znieść złote jajko! Zamordowany musiał znać tajemnicę Skarbu. Amulety nie są żadnymi wskazówkami. Świadczą jedynie o tym, że Skarb jest ukryty na terenie waszej posiadłości, i ten zabity wiedział, gdzie.

- Więc Mark Sadow nie znał sekretu - powiedział komendant Reynolds. - Harris go zna, tylko skąd?

- Musiał odgadnąć znaczenie tajemniczych słów, które wypowiedział przed śmiercią Magnus Yerde - oświadczył Jupiter. - Może ci ciemnoskórzy mu je zdradzili. A teraz my musimy je zrozumieć, by odnaleźć Harrisa.

- "W oku niebios, gdzie nikt go nie znajdzie" - zacytował komendant. - Co to znaczy? Gdzie mamy szukać?

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy przyglądali się sobie nawzajem.

- Gdybyśmy tylko mogli znaleźć tych ciemnoskórych mężczyzn...

Jupiter jęknął, a wielki dom odpowiedział mu drwiącą ciszą.

## ROZDZIAŁ 18

### Zeście po stromej skale

Dwaj mężczyźni o ciemnej karnacji stali z groźnymi minami w górskiej chacie, trzymając w dłoniach długie noże. Chłopcy cofali się wolno pod ścianę, a Pete chwycił po drodze lampę naftową, gotów w samoobronie cisnąć ją w intruzów, gdyby okazało się to konieczne.

Jeden z mężczyzn, patrząc na gest Pete'a, potrząsnął głową i przemówił chropawym, gardłowym głosem:

- Nie! Ty nie rozumieć. My przyjaciele. Przyszli pomóc.

- Mówicie po angielsku? - spytał ze zdziwieniem Bob.

- *Si*, niedużo. Ja Natches. To mój brat Nanika.

- Jeśli chcecie pomóc, to dlaczego ukradliście posążek? - zażądał wyjaśnień Pete.

- My widzieli wy znaleźć mały złoty mężczyzna na drodze. My myśleli on trzymać słowa od nasz mały brat Vittorio. My iść za wami, zabrać złoty mężczyzna, ale tam nie być słowa.

- Wyjeliśmy kartkę z wiadomością - przyznał Pete.

- Więc? - powiedział Natches. - Jakie słowa mówić?

Pete powiedział, co było napisane na świstku papieru, a Natches zaczął przytakiwać podniecony. On i jego towarzysz odłożyli noże.

- To, co my się bali - powiedział Natches. - Nasz mały brat jest w niebezpieczeństwo. Ten Harris kłamca, zły człowiek.

- Jesteście Indianami Yaquali z Meksyku, prawda? - spytał Bob. - A Harris więzi waszego brata.

- *Si*, tak - odparł Natches. - My przyjechali znaleźć brat. My się bać. My nie lubić miasto. Ale my musieć znaleźć Vittorio i inni chłopcy.

- Dlaczego nie próbowaliście mówić do nas po angielsku, kiedy nas ścigaliście? - zainteresował się Bob.

- Kiedy podniecone, nie pamiętać angielski - wyjaśnił ze smutkiem Natches.

- Dlaczego Harris trzyma waszego brata? Co on zamierza?

Posługując się kulawą angielszczyzną, Natches opowiedział chłopcom całą historię.

Miesiąc temu pan Harris przyjechał do ukrytej głęboko w górach Sierra Madre w Meksyku wioski zamieszkałej przez plemię Yaquali i zaproponował, że zabierze do Stanów

czterech chłopców, by w wesołym miasteczku popisywali się wspinaczkowymi umiejętnościami. To mogła być dobra okazja dla tych chłopców, by wyrwać się na chwilę w świat. Jednym z wybranych był Vittorio.

- My być biedni - wyjaśnił Natches. - Nasi młode chłopcy muszą uczyć się nowe sposoby. Pan Harris powiedziec nam oni zarobić duże pieniądze, zobaczyć Ameryka.

Harris wyjechał z czterema chłopcami, a mieszkańcy wioski byli szczęśliwi, że młodzi zobaczą kawałek świata i zarobią pieniądze. Tydzień temu do wioski dotarł list z Rocky Beach, z którego wynikało, że Vittorio potrzebuje pomocy. Jakimś cudem chłopiec zdołał go wysłać.

- My wyjechali, wzięli stary samochód, przyjechali tu - kontynuował Natches. - My znaleźli pan Harris władna hacienda w górach. My myśleli my słyszeć Vittorio wołać o pomoc. My patrzyli, widzieli wy znaleźć złoty mężczyzna. Następnego dnia my iść za wami, najpierw do duże studio, potem do dom, gdzie zabrać mały mężczyzna. Kiedy złoty mężczyzna nie mieć list od Vittorio, my znowu szukać pan Harris. My znaleźli jego w duży dom. Próbowali zmusić go powiedziec, gdzie jest chłopcy. Pan Harris zacząć walczyć z nami i wołać policja, by wsadzić nas do więzienie. My bali się i uciekli.

- Twierdzisz, że pan Harris zaczął z wami walczyć, by posłać was do aresztu? - Bob zaczynał rozumieć.

- Si - przyznał Natches. - Więc my patrzyli więcej i następnego dnia widzieli was chłopcy jak przyszli do duży dom. My gonili, ale wy nas oszukali. My znowu patrzyli, widzieli pan Harris kłaść dwa chłopcy do ciężarówka. My iść za nim tu, czekać, wspinać się na skała, by porozmawiać z wami. Wy powiedziec, gdzie pan Harris iść teraz.

- Nie wiemy - odparł Pete.

- Czy macie jakiś pomysł, co on zamierza zrobić z waszymi chłopcami? - zapytał Bob.

- Kilka zła rzecz - powiedział smutno Natches. - My myśleć on użyć chłopcy do zła rzecz, potem może zabić. Oni wiedziec, co on robić.

- Wykorzysta ich do wydostania Skarbu! - krzyknął Pete. - Są znakomitymi wspinaczami. A kiedy już zdobędzie to, czego szuka, zapewne zechce pozbyć się świadków.

- Musimy się stąd wydostać i zawiadomić komendanta Reynoldsa - powiedział Bob.

- Wy chceć stąd wyjść? - spytał Natches. - My iść z wami.

- Ale jak? Na zewnątrz stoi strażnik i nie ma sposobu go ominąć.

- My iść w dół skała - powiedział po prostu Natches.

Nanika przytaknął ochoczo, wskazując na tylne okno, a potem kierując dłoń na dół, co oznaczało zejście po stromej ścianie, poniżej której sterczały groźnie postrzępione skały.



- Mamy schodzić po tej stromiźnie? - Pete odsunął się od okna.

- Nie ma strach z nami, muchacho.

Bob popatrzył na Pete'a, a potem na Natchesa.

- Spróbujemy - powiedział. - To nasza jedyna szansa.

- Pozwólcie nam w pierw nadać sygnały - poprosił Pete, pogodziwszy się z nowym niebezpieczeństwem, któremu przyjdzie stawić czoło.

Chłopcy podeszli z lampami do okna i przysłaniając światło kawałkiem blachy, nadali alfabetem Morse'a sygnały SOS. Potem wraz z Indianami wyszli z chaty przez tylne okienko. Natches i Nanika wklinowali w skałę dwa grube drewniane kołki, przywiązali do nich cienką rzemionną linę i spuścili ją w dół skalnej ściany aż do jej podnóża. Potem gestem dłoni przywołali chłopców.

- Na piersi i ramiona mamy rzemienie - wyjaśnił Natches. - Wy chwycić mocno rzemienie na ramiona i wspiąć się na nasze plecy. Tak my znieść was na dół.

Pete przywarł do pleców Natchesa, a Bob do Naniki. Objęli ich nogami w pasie. Potem już bez słowa dwaj Indianie zeszli niżej do skraju stromej skały. Pete'owi zakręciło się w głowie, kiedy poczuł, że spada w przestrzeń, a Bob chwycił kurczowo uchwyty przymocowane do ramion Naniki.

Yaquali ześlizgiwali się po linie, odbijając nogami od skały, z szybkością i zręcznością pająków. Nie zatrzymując się nawet na chwilę, opuszczali się coraz niżej. Kiedy zdarzało się, że rozhuściana lina wyносиła ich daleko od ściany, Bob i Pete desperacko przywierali do pleców swych "tragarzy". Indianie obracali się zręcznie i dobijali z powrotem do skały dokładnie tam, gdzie powinni, i bez przeszkód kontynuowali brawurowy zjazd po linie. W kompletnych ciemnościach zjechali do podnóża skały z taką łatwością, jakby to był zwykły spacer ulicą.

Przez cały czas trwania zjazdu chłopcy mieli zamknięte oczy i kurczowo przywierali do pleców Indian. Wydawało im się, że ta podróż nigdy się nie skończy. Wreszcie zorientowali się, że Natches i Nanika stoją już na ziemi. Ostrożnie opuścili nogi i otworzyli oczy.

- Udało się! - zawołał z ulgą Bob.

Natches uśmiechnął się szeroko.

- Być nie tak źle. To być łatwo.

- Wolę nie słuchać, jak wygląda trudna wspinaczka - oświadczył słabym głosem Pete.

- Teraz lepiej się pospieszmy. Gdzie jest wasz samochód, Natches?

- Droga na lewo. My iść po policja? Ona pomóc?

- Na pewno pomogą, kiedy przekazemy im wszystko, co wiemy - oświadczył Bob.

Pospieżyli ścieżką do miejsca, gdzie Natches i Nanika zaparkowali swój stary samochód.

Kiedy doszli do drogi, nagle rozbłysły światła jakiejś stojącej ciężarówki, oślepiając ich na chwilę.

Z cienia wyszedł pan Harris ze strzelbą w rękach.

- Zaczynacie być męczący, chłopcy. Ale przynajmniej dostarczyliście mi moich przyjaciół Yaquali. Trochę mnie niepokoiło, że tak sobie swobodnie hasali dokoła.

- Jak... jak pan... - jękał się Bob.

- Jak was znalazłem? Po prostu zauważyłem wasze sygnały i przyszedłem zobaczyć, w czym mogę pomóc! - zarechotał pan Harris.

- Och, nie! - jęknął Pete.

Pan Harris znowu wybuchnął głośnym śmiechem. Odwrócił się i powiedział coś swemu krzepkiemu pomocnikowi, Sandersowi, który stał za nim, również ze strzelbą w rękach. W tej samej chwili Nanika wymruczał coś i skoczył na pana Harrisa. Fałszywy vegetarianin zręcznie uchylił się i uderzył Nanikę w głowę. Indianin padł na ziemię i leżał bez ruchu.

- Panie Harris! Ten drugi! - krzyknął Sanders.

Harris obrócił się, ale Natches zniknął w ciemnościach nocy. Oszust spojrzał ze złością na chłopców. Natychmiast stracił pewność siebie, która go dotąd nie opuszczała. Po chwili jednak roześmiał się zimno.

- Nie szkodzi, niech sobie idzie. Wkrótce będziemy daleko stąd i jeden zabłąkany Indianin nam w tym nie przeszkodzi.

- Jest pan pewien, szefie? - spytał z niepokojem Sanders.

- Oczywiście, idioto! Idź i ściągnij Carsona z posterunku przed chatą. Tych wścibskich głupców zabierzemy ze sobą. Jestem już nimi zmęczony. Pora z tym skończyć.

Sanders odszedł. Nanika nadal leżał milczący na ziemi, a pan Harris wpatrywał się w Boba i Pete'a. Chłopcy poczuli, że ogarnia ich strach. Zrozumieli, że tym razem nie uda im się uciec.

## ROZDZIAŁ 19

### W góry!

- Przykro mi, panie Andrews, nadal nie mamy informacji o tych ciemnoskórych mężczyznach lub ich samochodzie - powiedział komendant Reynolds po rozmowie ze swymi podwładnymi, którzy siedzieli w policyjnym samochodzie. - Ale pomyślimy, jak ich znaleźć.

- Co tu można wymyślić? - spytał nerwowo tata Boba. - Nie mamy pojęcia, gdzie mogą być. Nie trafiliśmy na żaden ślad.

Wszyscy stali przed frontowym wejściem do rezydencji Sandowów. Światło księżyca sprawiło, że sylwetki ludzi i pnie rosnących wokół drzew wyglądały jak srebrne duchy. Jupiter maszerował tam i z powrotem, głęboko zamyślony.

- Panie komendancie, moim zdaniem mamy kilka wskazówek, gdzie należy ich szukać - powiedział wolno. - Po pierwsze, Skarb jest ukryty gdzieś na terenie tej posiadłości. Po drugie, pan Harris ma samochód osobowy i ciężarówkę. Po trzecie, jest niemal pewne, że planuje wydostać Skarb dzisiejszej nocy. Używał różnych podstępów wyłącznie po to, by opóźnić nasze działania.

- Nie rozumiem, w czym mogą nam pomóc te informacje - powiedział Ted.

- Zaraz wytłumaczę. Harris zamierza korzystać z drogi, która prawie na pewno biegnie przez teren posiadłości, niedaleko stąd, i prowadzi w głąb gór. Możemy wykluczyć drogę do rezydencji i do leśnej chatki. Jakie są tu inne drogi? Poprosimy pannę Sandow, by nam powiedziała.

- Masz rację, Jupiterze - zawołał komendant Reynolds. - Czy mogłaby pani opisać nam te inne drogi? - zwrócił się do panny Sandow. Pan Andrews, Ted i Worthington przez cały czas wyteżali wzrok, próbując coś wypatrzeć w ciemnościach nocy.

Starsza pani zamyśliła się głęboko.

- Ostatnimi laty niewiele poruszałam się po terenie, ale...

- Spójrzcie w tamtą stronę! - przerwał cioci Ted. - Widzicie te błyski?

Wszyscy odwrócili się we wskazanym kierunku. Wstrzymali oddechy w oczekiwaniu. Po chwili wysoko w górach zobaczyli słaby błysk: jeden, drugi, trzeci, potem trzy błyski trwające nieco dłużej, i jeszcze raz trzy krótkie.

- To sygnał SOS! - krzyknął Jupiter. - Założę się, że nadają go Bob i Pete, pewnie uwięzieni gdzieś tam na szczycie.

- To jakieś dziesięć kilometrów stąd - ocenił komendant. - Tam, gdzie zaczynają się

wysokie góry...

- W kierunku na wschód, panie komendancie - dodał Worthington.

Seria regularnych błysków raz jeszcze pojawiła się na tle ciemnego nieba.

- Co się tam znajduje, panno Sandow? - spytał podniecony Jupiter.

- Nie jestem pewna. To było tak dawno... Poczekaj chwilę... Chyba sobie coś przypominam... Tak, we wschodniej części posiadłości mój ojciec miał małą chatę... O mój Boże, tak niewiele pamiętam! W późniejszych latach nikt tam nie zaglądał.

- Jak można tam dotrzeć, szanowna pani? - spytał tata Boba.

- Prowadzi tam dzika droga, raczej wąska, pnąca się potem wysoko w górę. Przebiega tuż poniżej chaty, która stoi na małej platformie na szczycie. Niełatwo się tam dostać.

- Doskonałe miejsce do trzymania więźniów - zauważył Jupiter.

Wszyscy patrzyli w stronę, gdzie widać było błyski, ale już więcej się nie pojawiły. Czekali jeszcze przez jakiś czas, jednak na próżno.

- Coś musiało się stać. - Pan Andrews się zaniepokoił.

- Ruszamy - zdecydował komendant. - Nie mamy czasu do stracenia.

Jako pierwszy jechał rolls-royce, w którym zmieścili się, poza kierowcą, komendant Reynolds, Jupiter, pan Andrews i Ted. Za nimi posuwał się wóz policyjny z trzema podwładnymi komendanta. Czwarty pozostał, by pilnować panny Sandow. Po jakimś czasie dotarli do opisanej przez nią dzikiej drogi. Wyłączyli światła w samochodach i jechali teraz wolniej, mimo iż księżyc rzucał blade światło, nadające niezmierny wygląd całemu otoczeniu. Wkrótce znaleźli się w samym sercu wysokich gór. Samochody zatrzymały się i wszyscy wysiedli.

Jupiter spojrział w górę. Usytuowana na wąskiej platformie na szczycie chata, skąpana teraz w blasku księżyca, była dobrze widoczna.

- Nie widzę żadnych błysków - szepnął pan Andrews.

- Będziemy posuwać się do góry niezwykle ostrożnie. To może być pułapka - powiedział komendant.

- Pospieszmy się - ponaglał pan Andrews. - Chłopcy są w niebezpieczeństwie.

- Będą w większym, jeśli zbyt wcześnie zostaniemy zauważeni - podkreślił komendant. - Jupiterze, ty zostań. Harris to groźny przestępca.

Jupiter z niechęcią kiwnął głową. Komendant i jego ludzie zaczęli wspinaczkę wąską, stromą ścieżką prowadzącą na platformę. Nagie zatrzymali się, widząc jakieś zamieszanie przy samochodzie. Pan Andrews i Worthington szamotali się z niewysokim, silnym mężczyzną.

- To nasz ciemnoskóry! - zawołał Jupiter.

- Dajcie go tutaj! - polecił podwładnym komendant Reynolds.

Dwóch policjantów podeszło do wrywającego się panu Andrewsowi i Worthingtonowi Indianina i zawlokło go przed oblicze komendanta i stojącego przy nim Jupitera. Na widok chłopca Yaquali przestał się szarpać i uśmiechnął się serdecznie.

- Ty Jupiter, tak? Ja Natches. Przyjaciel. Yaquali przyjaciel. Ja uciec.

- Zobaczmy, jaki z ciebie przyjaciel - powiedział złowieszczym tonem komendant. - Ty atakowałeś tych chłopców?

- *Si*. Ja zrobił błąd. Ja myśleć oni amigos złego człowiek Harris. Ja powiedzieć inni chłopcy, ja nie mieć racja. Oni uwierzyć.

- Widziałeś Boba i Pete'a? - zawołał pan Andrews. - Powiedz nam, gdzie oni są!

Natches popatrzył dokoła zrozpaczony.

- Niedobry Harris zabrać ich. I mój brat Nanika też. Już więzić mały brat Vittorio. Ja uciec.

Komendant westchnął ciężko.

- Zaczynj jeszcze raz od początku i wyjaśnij, o co w tym wszystkim chodzi.

- Chwileczkę, panie komendancie - przerwał Jupiter. - Założę się, że oni mówią po hiszpańsku... Zna pan hiszpański? - spytał, zwracając się do Natchesa.

Indianin przytaknął skwapliwie.

- Proszę opowiedzieć nam wobec tego wszystko po hiszpańsku. Obaj z panem komendantem rozumiemy ten język.

Natches znowu zaczął opowiadać całą historię, ale tym razem robił to dużo szybciej. Wszyscy słuchali uważnie, wyrażając oburzenie dla zdradzieckiego Harrisa.

- Twierdzi pan, że on zabrał czterech waszych chłopaków? - upewnił się Jupiter. - Oczywiście! Ależ byłem głupi. Ci chłopcy stanowią rozwiązanie zagadki Magnusa Verde. Cały czas powtarzaliśmy, że jego słowa brzmiały: "To jest w oku niebios, gdzie nikt go nie znajdzie".

- A czyż to nieprawda? - spytał komendant Reynolds.

- W pewnym sensie. Magnus Verde powiedział dokładnie tak: "To jest w oku niebios, gdzie żaden człowiek go nie znajdzie". Mówiąc "człowiek", miał na myśli mężczyznę. Czyli jego zdanie brzmiało: "To jest w oku niebios, gdzie żaden mężczyzna go nie znajdzie". Żaden mężczyzna, rozumiecie? Chodziło mu o to, że mężczyzna nie zdoła wydobyć Skarbu, ale może to zrobić chłopiec!

- Chłopiec! - wykrzyknął komendant Reynolds.

- Właśnie tak, proszę pana. Indianie są nieduży, a w tamtych czasach byli jeszcze mniejsi. Magnus Verde i jego kompani ukryli Skarb w takim miejscu, do którego tylko chłopiec mógłby się dostać. W jakiejś jaskini o wąskim wylocie.

- Chodzi ci o to, że Harris pojął prawdziwe znaczenie słów Magnusa Verde i udał się do indiańskiej wioski po dwóch chłopców na tyle niedużych, by mogli wspiąć się do jaskini i wejść do niej do środka?

- Tak - odparł Jupiter. - Harris wiedział, że Yaquali są znakomitymi wspinaczami górskimi.

- To znaczy, że Skarb jest ukryty gdzieś wysoko - rozważał komendant. - Dlaczego jednak wąskie wejście miałyby powstrzymać Harrisa przed wydobyciem złota? Mógł przecież poszerzyć skalny otwór lub go wysadzić dynamitem.

- Nie sądzę - powiedział Jupiter. - Po pierwsze, istniałoby niebezpieczeństwo zawalenia się jaskini i złoto już na wieki zostałoby pogrzebane wśród skalnych złomów. Po drugie, żaden złodziej nie ryzykowałby głośnych robót, które mogłyby przyciągnąć czyjąś uwagę.

- Czy moglibyśmy zająć się tym później? - przerwał rozważania pan Andrews. - Teraz najważniejszą rzeczą jest uratowanie chłopców. Czy wiesz, Natches, dokąd Harris ich zabrał?

- Ta droga. Tam szlak - wskazał ręką w stronę wyższej partii gór.

- To znaczy w głąb gór - powiedział komendant Reynolds. - Moglibyśmy szukać całymi dniami. Jeśli poczekamy do świtu, wezwę helikopter.

- Rano może być już za późno! - zaprotestował zdesperowany pan Andrews.

- Nie możemy teraz popełnić błędu, panie Andrews - powiedział spokojnie komendant. - To jeszcze bardziej naraziłoby życie chłopców.

Jupiter milczał, gdy dorośli dyskutowali. Nieoczekiwanie zwrócił się do Natchesa:

- Panie Natches, czy pan potrafi ich wytropić?

- Wytropić? *Si*. Oczywiście. Ja tropić łatwo.

- Chodźmy więc! - zawołał komendant. - Mam nadzieję, że zdążymy na czas.

Natches pobiegł kłusem drogą oblaną światłem księżyca. Inni w milczeniu posuwali się za nim.

Pan Harris stał obok Boba i Pete'a w pustym kanionie usytuowanym głęboko w górach. Otaczający ich krajobraz sprawiał wrażenie księżycowego. Obaj chłopcy byli dokładnie związani solidnymi linami.

- Głupcy! - krzyknął oszust. - Powinienem być od razu załatwić się z wami. No, teraz

nie potrwa to już długo. Z cienia wyłonił się cicho Sanders.

- Yaquali są gotowi, szefie.

- Doskonale - odparł Harris. - Gruby przyjaciel tych głupków niewątpliwie podnosi teraz larum. Nie wolno nam go lekceważyć. To sprytny chłopak. Musimy działać szybko. Za mną, Sanders.

Bob i Pete obserwowali dwóch łotrów znikających w cieniu kanionu o pudełkowatym kształcie. Nanika jęczał słabo, leżąc na ziemi, ze związanymi rękami i nogami.

- Co teraz zrobimy? - spytał Pete.

- Mam nadzieję, że Harris się nie myli i Jupiter nas szuka.

- Może zauważył nasze sygnały.

- Mieliliśmy niewiele czasu, by je wysłać - powiedział Bob bez większej nadziei. - A nawet gdyby je dojrzał, poszedłby do górskiej chaty. Kto nas tu znajdzie w ciemnościach?

- Nie wiem, ale lepiej, żeby to zrobił - powiedział Pete. - Przeczucie mówi mi, że o świcie już nas tu nie będzie!

Zanim Bob zdołał odpowiedzieć, Harris i Sanders znowu się pojawili. Fałszywy wegetarianin sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Skinął na Sandersa, który schylił się i rozwiązał Boba.

- Już po tobie - warknął Harris do chłopca. - Sanders, wiesz, co masz robić?

- Wiem, szefie.

- To dobrze. Jeśli pogonimy tych czterech chłopczków do roboty, cała zabawa zajmie nam nie więcej niż kilka godzin. Bądź gotów, Sanders. Skarb jest już prawie w naszych rękach.

Harris popchnął Boba przed sobą i razem rozplynęli się w nocnych ciemnościach. Pete patrzył w ślad za nimi z uczuciem strachu. Dlaczego Harris zabrał Boba?

Pete nie wiedział zbyt dobrze, gdzie się teraz znajdują. Kanion nie miał żadnej nazwy, ale rozciągał się u podnóża wysokiej kopy zwanej Głową Indianina, w głębi gór na skraju posiadłości Sandowów. Droga i szlak biegły ponad dwa kilometry stąd. W jaki sposób ktokolwiek mógłby ich tu znaleźć?

- Sanders? - odezwał się do pomocnika fałszywego wegetarianina. - Harris zostawi pana...

- Lepiej siedź cicho - warknął Sanders. - Szef wie, co robi.

Pete popadł w pełne smutku milczenie. Zraniony Nanika poruszył się i próbował usiąść. Rozejrzał się dokoła dzikim wzrokiem. Pete uśmiechnął się do niego uspokajająco, ale nic nie mógł powiedzieć. Nanika nie znał angielskiego. Jeśli Pete miał coś zaradzić, musiał

działać sam.

Ale jakie miał właściwie możliwości działania? Sanders siedział zaledwie kilka metrów od niego, nie wypuszczając z rąk strzelby i bacznie obserwując więźniów. Pete rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu.

Nagle zamrugał powiekami. Chyba ma przywidzenia! Wydało mu się, że w całym niewielkim kanionie zaczęły wyrastać jakieś niewyraźne postacie.

- Tu jestem! Ratunku! - krzyknął z całych sił.

Wszystkie postacie zaczęły biec ku niemu. Sanders poderwał się na widok poruszających się cieni, rozejrzał dokoła oszalałym spojrzeniem, po czym rzucił strzelbę i skoczył przed siebie w ciemność.

- Złapać go! - zawołał komendant Reynolds.

W chwilę później pan Andrews i Worthington tłoczyli się wokół Pete'a, próbując rozwiązać linę. Natches podbiegł do Naniki i szybko uwolnił brata z więzów. Dwóch ludzi komendanta wróciło z szamoczącym się bez przerwy Sandersem.

- Gdzie jest pan Harris? - spytał Jupiter Pete'a.

- Poszedł kanionem w kierunku Głowy Indianina i zabrał ze sobą Boba - powiedział Pete.

- Mój syn nadal jest w jego rękach? - spytał zrozpaczony pan Andrews.

- Ej, ty, gdzie jest Harris? - odezwał się komendant Reynolds do gburowatego Sandersa. - Co zrobił z Bobem i tymi młodymi Indianami?

- Sam się domyśl, glino - Sanders uśmiechnął się szyderczo.

- Należy do nich jeszcze jeden typ, o nazwisku Carson - uzupełnił Pete.

- Nigdzie się stąd nie wydostaną. To zamknięty kanion-pułapka. Zabawa skończona!

Sanders spojrział na policjanta z pogardą.

- Nie wyobrażaj sobie, że już pokonałeś szefa, glino.

- Nie odszedł daleko - powiedział Pete. - Kanion nie jest taki długi.

- Żeby go opuścić, musi przejść obok nas - podkreślił Jupiter.

- Macie rację - potwierdził komendant. - W porządku, chłopcy, tyralierą naprzód!

Grupa rozciągnęła się. Policjanci trzymali strzelby gotowe do strzału. Ruszyli w kierunku Głowy Indianina, góry srebrzystym wierzchołkiem sięgającej nieba.

Kanion stopniowo się zwężał, a oni uparcie parli naprzód. Świadomi, że Skarb znajduje się najpewniej gdzieś wysoko, przez cały czas wpatrywali się w wierzchołki gór. Jupiter, który szedł z tyłu z Pete'em i Worthingtonem, wydał nagle głośny okrzyk.

- Pete! Ta góra! Zobacz, wygląda jak...



Przerwał, gdyż w tej samej chwili ciszę nocy zmaćił szaleńczy, dziki śmiech, który odbijał się echem od ścian kanionu.

- Śmiejący się cień! - wykrzyknął Pete.

- Tam! - zawołał komendant. - Poświećcie latarkami.

Policjanci skierowali latarki we wskazanym przez przełożonego kierunku.

Z ciemności wyłoniła się uśmiechnięta postać pana Harrisa.

- Trochę się pospieszyliście. Szkoda. Będę musiał zadowolić się mniejszym łupem.

Reszta słów oszusta utonęła w przeraźliwym śmiechu, który znowu rozbrzmiał w kanionie.

## ROZDZIAŁ 20

### Skarb Chumashów

- Nie ruszaj się, Harris - rozkazał komendant Reynolds. - Weźcie go i obszukajcie - zwrócił się do podwładnych. - Gdzie jest ten drugi?

- Mamy go, komendancie - dobiegł z ciemności głos policjanta. Popchnął przestępcę, by stanął obok swego szefa.

Podczas rewizji Harris uśmiechał się. Funkcjonariusz zabrał mu niewielki woreczek i wręczył przełożonemu. Komendant otworzył woreczek i spojrzał prosto w twarz zadowolonego z siebie kryminalisty.

- Tu jest złoto, co znaczy, że odnalazłeś Skarb Chumashów. Lepiej powiedz, gdzie on się znajduje. Wiemy o tobie wszystko.

- Wszystko? - Harris zarechotał. - Wątpię. Ci brudni Indianie mogli coś tam naopowiadać, ale przecież nie może pan wierzyć...

- Rozmawiałem także z Australią - przerwał mu komendant.

Harris zbladł.

- Skąd się pan dowiedział o Australii?

- Jupiter, wyjaśnij mu... - zaczął komendant, lecz nim zdążył dokończyć zdanie, z ciemności wyfrunął wielki ptak, podleciał prosto do Harrisa usiadł mu na głowie. Ptaszysko rozmiarami przypominało kruka, miało nastroszone pióra, potężny, długi czarno-żółty dziób, białą pierś i podbrzusze i strzępiasty ogon. Było grube, a ogromna głowa zdawała się rozmiarem nie pasować do reszty ciała.

- Co to za cudak? - spytał Pete, wpatrując się w dziwnego ptaka. Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, ptak otworzył monstrualny dziób i wydał z siebie odgłos podobny do dzikiego, szalonego śmiechu, który wypełnił cały kanion.

- Ten śmiech! - wrzasnął Pete. - To był ptak!

- Ściśle mówiąc, *kookaburra*, zimorodek olbrzym - wyjaśnił Jupiter. Wyglądało na to, że pojawienie się dziwnego stworzenia zupełnie go nie zaskoczyło. - W Australii znany jako *laughing jackass*. Tego właśnie nie mogłem sobie przypomnieć: nazwy australijskiego ptaka, który ma głos podobny do ludzkiego śmiechu.

Skierował światło latarki na Harrisa. Z ptakiem siedzącym mu na głowie oszust przypominał wysokiego garbusa z małą główką, trzęsącą się na wszystkie strony.

- Oto nasz śmiejący się cień - powiedział Pierwszy Detektyw. - Pan Harris ze swoim

domowym zwierzątkiem na głowie. Ten gatunek ptaków znany jest tylko w Australii.

Oszust przytaknął i wzruszył ramionami.

- Czyli dlatego mnie zdemaskowałeś, Jupiterze? Obawiałem się, że coś takiego może się zdarzyć i próbowałem pozbyć się tego ptaka. Niestety nie dał się przepędzić z terenu posiadłości i wydierał się w najmniej fortunnych momentach.

- Jupiter zauważył również ślady po twojej kanapce z mięsem. Byłeś nieostrożny, Harris - powiedział komendant Reynolds.

- To też? Powinienem był wykazać większą stanowczość wobec naszego grubawego przyjaciela. Jednakże, jak to mówią, jeszcze nie wszystko stracone. Sądzę, że chcielibyście, by ten mały Bob i indiańskie chłopaczki wrócili cali i zdrowi, prawda?

- Co zrobiłeś z moim synem? - krzyknął pan Andrews.

- Nie próbuj żadnych sztuczek, Harris - warknął ostrzegawczo komendant. - Już i tak masz wystarczająco dużo kłopotów.

- Aż za dużo, komendancie - przyznał oszust. - Jednakże wyjdę z tego. Opłaca się być przygotowanym. - Harris uśmiechnął się złośliwie. - W worku, który pan trzyma, jest trochę złota. Bynajmniej nie tak dużo, jak miałem nadzieję zdobyć, ale wystarczy. Jestem gotów dokonać transakcji. To złoto i moja wolność w zamian za więźniów. Sandersa i Carsona możecie zatrzymać, żeby dobrze wyglądało.

- Jak to, ty...! - huknął Sanders i chciał się rzucić na swego byłego szefa, ale policjant go powstrzymał.

- Ech, Sanders, wszyscy musimy uważać na siebie, prawda? Nie mogę być zachłanny. Oddam resztę skarbów i chłopców, a sam ulotnię się z tym małym woreczkiem złota.

- Żadnych układów, Harris - oświadczył komendant. - Znajdziemy chłopców. Nic im już nie możesz zrobić, bo ty i twoi kompani jesteście w naszych rękach.

- Przeciwnie, komendancie - powiedział miękko Harris. - Widzi pan, przygotowałem się i na taką ewentualność. Nie znajdziecie chłopców, jeśli nie powiem, gdzie ich ukryłem.

- Ostrzegam cię, Harris, że...

- Nie! To ja pana ostrzegam! - Głos oszusta brzmiał już teraz ostro. - Jeśli nie odejdę wolny ze złotem, nigdy nie odnajdziecie chłopców żywych. Nie mogą uciec ani wołać o pomoc. Są pozbawieni wody i żywności. Jeśli pozwoli mi pan odejść z tym woreczkiem, to kiedy poczuje się już bezpieczny, zadzwonię i powiem, gdzie szukać uwięzionych. W przeciwnym razie zginą.

- Nie ośmieliłbyś się! Przecież to byłoby morderstwo!

- Pewnie nie ośmieliłbym się, ale tego pan nie może być pewien, prawda? Nie ma pan

wyboru. - Zaśmiał się po raz kolejny.

Śmiech Harrisa nie był głośny, jednakże zawtórował mu ptak siedzący na jego głowie jak na grzędzie i ten dziki śmiech odbił się echem od ścian kanionu i spotęgował grozę nocnych ciemności. Pan Andrews popatrzył błagalnie na komendanta. Wszyscy pozostali wpatrywali się w wyszczerzone zęby Harrisa. W końcu przemówił Jupiter.

- Mamy jednak wybór - powiedział spokojnie. - Panie komendancie, jestem pewien, że wiem, gdzie znajdują się chłopcy.

Harris popatrzył zimno na detektywa. Komendant Reynolds nie wyglądał na przekonanego.

- Gdzie oni są? - zawołał pan Andrews.

- Tam - oznajmił Jupiter i wskazał na ciemną górę, której wierzchołek zdawał się dotykać nieba. - Słowa Magnusa Verde brzmiały: "Jest w oku niebios, gdzie żaden mężczyzna go nie znajdzie". Wiemy, że określenie "żaden mężczyzna" było dość wykrętne, ale moim zdaniem powiedział prawdę o tym oku nieba. Nie miał na myśli słońca, księżyca lub czegokolwiek przypominającego oko. Chodziło mu o prawdziwe oko. Spójrzcie na tę górę, na Głowę Indianina.

Wszyscy podnieśli wzrok. Na tle oświetlonego blaskiem księżyca nieba rysowała się olbrzymia skalna głowa z nosem, ustami i parą oczu.

- Lewe oko jest głęboko w cieniu - ciągnął Jupiter. - Moim zdaniem w górze jest występ skalny, a za nim jaskinia, w której ukryty jest Skarb Chumashów. Harris dostał się tam, a kiedy zobaczył w dole światła, wepchnął chłopców do jaskini i zatkał jej wylot, tak więc znaleźli się w pułapce.

- Uważasz, że dałbym radę się tam wdrapać? - mruknął Harris.

- Przy pomocy Yaquali jak najbardziej - powiedział Jupiter. Australijska policja poinformowała nas, że był pan również pajęczarzem.

- Nawet zakładając, że chłopcy tam są - co możesz zrobić?

- Natches i Nanika tam pójda.

Natches przytaknął ochoczo.

- *Si!* My wspinać się łatwo. Mucho łatwo.

- Zamierzacie słuchać dzieciaka? - Harris zwrócił się do dorosłych. - Ostrzegam was, jeśli posłuchacie go, a on się myli, cały układ na nic. Możemy dogadać się teraz albo nigdy.

Dorośli kręcili się niespokojnie. Harris mruczał jakieś przekleństwa. Każdy spoglądał na pana Andrewsa i dwóch młodych Indian. Tata Boba odezwał się pierwszy:

- Wierzę w instynkt Jupitera.

Yaquali pokiwali głowami.

- W porządku - zdecydował komendant Reynolds. - Natches i Nanika pójdą do góry i zobaczą, co się dzieje. Ale co będzie, jeśli Harris związał chłopców? Jeśli wylot jaskini jest bardzo mały, Indianie nie dadzą rady wejść do środka.

- Nie bardzo sobie wyobrażam, jak Harris zdołałby wejść do jaskini i powiązać chłopców - odparł Jupiter. - Chyba że kazał jednemu z nich związać pozostałych, a potem wpełznął go za nimi przez otwór, nim go zastawił. Ale nie wierzę, żeby miał na to czas. Jednakże na wszelki wypadek pójdę z Yaquali na górę. Wejdę w razie czego do jaskini.

- Ty, Jupiterze? - Komendant popatrzył z niedowierzaniem na przysadzistą sylwetkę detektywa.

- *Perdone*, ty wybaczyć - powiedział Natches. - Ja nie myślę, Jupiter, ty móc się wspinać. Ty za duży.

Jupiter zaczerwienił się na wzmiankę o jego tuszy, ale niechętnie przyznał, że komendant i Indianin mają rację.

- Sądzę, że Pete może iść.

- *Si* - zgodził się Natches. - Silny chłopiec. Wysoki, nie tak ciężki. Może wejść do środka.

Pete przełknął ślinę.

- Tak, ja powinienem tam pójść.

Komendant Reynolds zagonił Harrisa i jego pomagierów na małą płaszczyznę między głazami, gdzie siedzieli milcząco i posępni, podczas gdy Pete i dwaj Indianie szykowali się do wspinaczki. Kiedy przygotowali potrzebny sprzęt, Yaquali związali Pete'a liną i umieścili między sobą, a potem zaczęli się wspinać. Nanika prowadził.

Obserwatorzy pozostali w kanionie widzieli na tle skały ciemne sylwetki, które z tej wysokości wyglądały jak owady. Zespół piął się w górę szybko i pewnie. Bez Pete'a obaj Indianie wspiniliby się jeszcze szybciej; dla nich było to jak spacer ulicą. Ze względu na chłopca zachowywali dużą ostrożność i nie narzucali tempa.

Krok po kroku osiągnęli coraz większą wysokość, aż w końcu stanęli na występie skalnym przy oku kamiennej twarzy. Na chwilę zatrzymali się, a potem zniknęli za krawędzią.

- Udało im się! - zawołał z dołu komendant Reynolds.

- Skoro Natches i Nanika asekurowali Pete'a, nie było żadnego niebezpieczeństwa - zauważył Jupiter. - Teraz są w oku niebios.

Stojący wysoko na występie skalnym Pete i dwaj Indianie zobaczyli wielki głaz

naprzeciwko tylnej ściany, głęboko w kamiennym oku. Na samym występie leżała mała kupka złotego kruszcu i długa żelazna belka.

- Jupiter miał rację! - zawołał Pete. - Tu właśnie znajduje się złoto, a Harris użył belki jako dźwigni, by zastawić głazem wejście do jaskini. Idziemy, Natches.

Za pomocą belki przeturlali głaz kawałek dalej. Za głazem dojrzeli małą, ciemną dziurę w skale. O wiele za małą, by zmieściły się w niej szerokie ramiona Indian. Pete wziął latarkę.

- Obwiążcie mi linę wokół kostki - poprosił. - Jeśli dam znać, wyciągniecie mnie z jaskini.

Wpełznął do ciemnej dziury. Z trudem przeciskał się naprzód przez wąski tunel. Wkrótce wyczuł przestrzeń nad głową i ruch powietrza. Zaczął czołgać się szybciej, ale zaklinował się. Chociaż usiłował poruszać się naprzód, nie mógł tego zrobić. Był zbyt duży, by przesunąć się choćby o centymetr. Nagle usłyszał hałas dobiegający gdzieś z góry i z lewa. Przerażony zapalił latarkę i zobaczył postać, trzymającą w rękach duży kamień, którym najwyraźniej zamierzała mu przyłożyć.

- Bob, to ja! - zawołał.

- Pete! - Twarz Boba rozjaśnił uśmiech. - Stary, tak się cieszę, że cię widzę. Próbowałem powiedzieć chłopakom, że przyjdziecie po nas, ale chyba niczego nie zrozumieli. - Bob zaśmiał się trochę nerwowo. - Wyglądasz śmiesznie, wkliniowany między te skały. Sam się z trudem precisnąłem.

Pete omiół światłem latarki wnętrze jaskini i jego blask padł na czterech niewielkich, ciemnych chłopców, którzy stali koło Boba, uśmiechając się promiennie.

- Poświeć tam - powiedział Bob, wskazując palcom.

Pete skierował snop światła na koniec niewielkiej jaskini i wydał nieartykułowany okrzyk.

Wszędzie dokoła leżały masy złota i drogich kamieni. Złote przedmioty były różnych kształtów, wspaniale połyskiwały w strumieniu światła. Klejnoty lśniły wszystkimi kolorami tęczy, przyprawiając patrzącego o zawrót głowy.

- To Skarb Chumashów! - krzyknął Pete. - Znaleźliśmy go!

## ROZDZIAŁ 21

### Alfred Hitchcock odkrywa nie wyjaśnioną sprawę

Alfred Hitchcock rozpromienił się na widok Trzech Detektywów, kiedy następnego popołudnia zasiedli w jego biurze.

- Skarb Chumashów rzeczywiście był "W oku niebios, gdzie żaden mężczyzna nie mógłby go znaleźć". Stary Magnus Verde powiedział szczerą prawdę, dlatego przez dwieście lat udawało mu się wszystkich oszukać.

- Nikt nie wierzył, że szef bandy mówił prawdę - zgodził się Jupiter.

- Dopóki wyście się nie zjawili! - Sławny reżyser miał zadowoloną minę. - Tak, wasz pan Harris i jego kompani będą mieli dużo czasu, by żałować swych niecznych uczynków.

- A kiedy opuszczą nasze więzienie, wpadną w ręce australijskiej policji, która wypatruje ich z utęsknieniem - dodał Bob.

- Nie czeka ich jasna przyszłość - powiedział sucho pan Hitchcock. - Czy przyznali się do wszystkich niegodziwych postępów?

- Tak, proszę pana - odparł Pete. - Pan Harris był bardzo sprytny. Usłyszał, że krąży legenda o Skarbie, i wymyślił rozwiązanie zagadki Magnusa Verde. Ale kiedy już rozpoznał Głowę Indianina i znalazł jaskinię, nie mógł wejść do środka. Podczas pobytu w Meksyku udał się do wioski, gdzie mieszkali Yaquali, i zabrał stamtąd kilku chłopców, by wydobyli dla niego złoto.

- Przyznał, że nie chciał mieć do czynienia z żadnymi amerykańskimi chłopcami - dodał Bob - ponieważ po zakończeniu akcji zamierzał pozbyć się świadków. Był pewien, że nikt nie powiąże jego osoby z faktem zaginięcia czterech chłopców z odległej indiańskiej wioski.

- Skończony łajdak! - Sławny reżyser skrzywił się na samą myśl o oszuście. - Wspaniale, że przerwaliście jego mroczną karierę.

- Jednakże młodszy brat Natchesa i Naniki rozumiał trochę po angielsku - podjął opowieść Jupiter - i podsłuchał rozmowę Harrisa. Stało się dla niego jasne, że Harris zamierza popełnić przestępstwo, posługując się indiańskimi chłopcami, a potem pozbyć się ich. Napisał więc list, który udało mu się niepostrzeżenie porzucić na drodze. Szczęśliwie ktoś go znalazł i wysłał.

- Niezmienny składnik losu - przypadek - skomentował pan Hitchcock. - Pamiętajcie, że nie wolno go lekceważyć. Odgrywa ogromną rolę we wszystkich ludzkich działaniach.

Nigdy się nie dowiemy, kim był nieznajomy, który nadał list, ale to on bez wątpienia ocalił życie chłopców.

- Tak, proszę pana - przyznał Jupiter.

- Zastanawia mnie jeden aspekt całej sprawy. - Sławny reżyser spojrział z zadumą na swych gości. - Harris dość długo zwlekał z przystąpieniem do realizacji planu wykradzenia Skarbu.

- Zgadza się - przytaknął Jupiter. - Wiedział bowiem, że najlepiej będzie, jeśli nikt go nie zauważy podczas przeprowadzania akcji. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że odnalazł Skarb. Czekał zatem na moment, kiedy panna Sandow i Ted opuszczą posiadłość. W tym samym dniu, w którym znaleźliśmy amulet, niemal już przekonał ich, by pojechali do San Francisco na spotkanie wegetarian. Natychmiast po ich wyjeździe zamierzał wydobyć Skarb, pozbyć się chłopców i uciec prywatnym wynajętym samolotem. Gdyby plan się powiódł, nikt nigdy nie dowiedziałby się, że jest on posiadaczem Skarbu lub że ten Skarb naprawdę istniał, i pan Harris mógłby sobie żyć bezpiecznie w Ameryce Południowej.

- Tylko że po południu zabrali do górskiej chaty małego Vittorio - podjął wątek Pete - a chłopak zdołał uciec. Czaił się w pobliżu domu panny Sandow, kiedy przez okno biblioteki wypatrzył leżący tam amulet. Ukradł go, bo pomyślał, że złoto może się przydać.

- I naprawdę się przydało - przerwał Bob - tyle że nie z powodu swej wartości. Vittorio odkrył w amulecie tajemną skrytkę i umieścił w niej wiadomość z prośbą o pomoc.

- Potem mały został schwytany - ponownie włączył się Pete - i to właśnie jego wołanie o pomoc słyszeliśmy. Vittorio miał nadzieję, że jego bracia znajdą wiadomość, ale zamiast do nich trafiła do nas.

- To był szczęśliwy przypadek! - powiedział pan Hitchcock. - Rozwikłaliście tajemnicę tak, że nic ująć, nic dodać. Powiedzcie mi, czy te amulety były w końcu jakimś kluczem do rozwiązania zagadki Skarbu?

- Tylko o tyle, że potwierdzały fakt jego istnienia - wyjaśnił Jupiter. - Natches chciał odzyskać pierwszy amulet, ponieważ myślał, że znajdzie w nim informację od Vittoria. Obawiam się, że popełniłem niewybaczalny błąd z drugim amuletem, a pan Harris mnie podpuszczał. Wszystko, co mi powiedział, było kłamstwem.

- Błąd, młody Jonesie? - Pan Hitchcock uniósł brwi ze zdziwienia.

- Tak - przyznał ze smutkiem Jupiter. - Założyłem, że winowajcą jest Ted, a amulety są wskazówką prowadzącą do Skarbu. W tym momencie stałem się ślepy na to, co się rzeczywiście dzieje. Dzięki temu pan Harris z łatwością wystrychnął nas na dudków. Po prostu zachęcał mnie, bym nadal wierzył w to, co uznałem za prawdę.



- Zgadza się - wolno pokiwał głową sławny reżyser - największym błędem, jaki może popełnić detektyw, jest przyjęcie z góry za pewne faktów, które nie zostały udowodnione. Zachowanie otwartego umysłu to jedyny sposób, by nie dać się oszukać. Wyjaśnij mi jeszcze jedną sprawę, młody przyjacielu. Jak to się stało, że dzięki śmiech skojarzyłeś z australijskim ptakiem *kookaburra*, co z kolei pozwoliło ci wpaść na trop pochodzenia pana Harrisa?

- Wtedy co prawda myślałem, że to Ted jest cieniem, ale jego akcent przypomni mi, że jest pewien rodzaj wymowy podobny do brytyjskiej, charakterystyczny dla osób, które nie pochodzą wcale z Anglii.

- Rozumiem - powiedział pan Hitchcock. - Ale co dokładnie doprowadziło cię do wniosku, że może chodzić właśnie o *kookaburrę*?

Jupiter uśmiechnął się szeroko.

- To, że nie byliśmy w stanie ustalić, co przypomina nam śmiech tajemniczego cienia. Każdy z nas odbierał go inaczej. Przypomniałem sobie słynne opowiadanie Edgara Allana Poeo "Zabójstwo przy rue Morgue" i...

- A niech to piorun strzeli! Jasne! W tamtym opowiadaniu nikt nie mógł ustalić, jakim językiem posługiwał się niewidzialny morderca. Nikt nie potrafił rozpoznać jego wymowy, ponieważ mordercą okazała się małpa, która nie mówiła żadnym językiem!

- Właśnie tak, proszę pana. - Jupiter sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. - Nagle przyszło mi do głowy, że to może wcale nie jest ludzki śmiech. Skojarzyłem sobie, że chyba w Australii jest takie zwierzę, którego głos przypomina śmiech człowieka. Nie pamiętałem dokładnie, o jakie zwierzę chodzi, ale kiedy nagle z ciemności nadleciał ten wielki ptak, przypomniałem sobie jego nazwę.

- Wspaniale! - zaśmiał się pan Hitchcock. - Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. *Laughing jackass* na koniec zaśmiał się kosztem pana Harrisa. Wyobrażam sobie, że widok Skarbu musiał być dla was wspaniały.

- Naprawdę był - przyznał Bob. - Przynieśliśmy też mały drobiazg dla pana, z pozdrowieniami od panny Sandow.

Bob postawił na biurku lśniącą złotą czarbkę.

- Podziękujcie tej sympatycznej pani w moim imieniu, chłopcy. Ta czarbkę dołączy do mojej rosnącej kolekcji pamiątek związanych z waszymi odkryciami. A co z resztą skarbów? Przypuszczam, że należą do panny Sandow.

- Profesor Meeker bada je. Państwo musi rozstrzygnąć ich ostateczne losy. Muzea są gotowe odkupić część precjozów do swoich zbiorów.

- Panna Sandow ma nadzieję, że skorzystają na tym również Indianie - dodał Bob. -

Byłoby wspaniale, gdyby Yaquali mogli przywieźć trochę pieniędzy do swojej wioski.

- Czyli sprawa zakończona - obwieścił pan Hitchcock. - Jednakże, moi drodzy, obawiam się, że nie całkiem. Odkryłem jeden szczegół, którym trzeba się zająć.

- Jaki szczegół? - zawołał zdziwiony Pete.

- Jeśli nie przeoczyłem czegoś w waszym sprawozdaniu, pozostaje Skinner Norris. Nie załatwiliście się z nim do końca. Chłopcy wyszczerzyli zęby w szerokim uśmiechu.

- Proszę się nie obawiać - uspokoił reżysera Jupiter. - Mamy swoje plany z nim związane.

Tym złowieszczym akcentem zakończono sprawę.